



GAZETA NIEDZIELNA

ROK 6.

LONDYN, 5 KWIETNIA 1953

NR. 14/206

ALLELUJA!

Zwycięzca śmierci, piekła i szatana
Wychodzi z grobu dnia trzeciego z rana.
Naród niewierny trwoży się, przestrasza
Na cud Jonasza. Alleluja.

Ziemia się trzęsie, straż się grobu miesza,
Anioł zstępuje, niewiasty pociesza
„Patrzcie (mówi im) grób ten próżny został,
Pan zmartwychpowstał.“ Alleluja.

Ustąpcie od nas smutki i trosk fale,
Gdy Pan Zbawiciel triumfuje w chwale;
Ojcu Swojemu uczynił już zadość.
Nam niesie radość. Alleluja.

Ciesz Swych uczniów, co Mu wierni byli,
Utwierdza w wierze, aby nie wąpili;
Obcuje z nimi, daje nauk wiele
O Swym Kościele. Alleluja.

Już nie przestaje z narodem niewiernym,
Samym się tylko ukazuje wiernym;
Nieśmiertelności przedstawia znamiona,
Wśród uczniów grona. Alleluja.

Boleści, rany, wzgardy wyrządzone
I śmierć haniebna są już nagrodzone;
Za poniżenia został wywyższony
Nad wszystkie trony. Alleluja.

Ciesz się Syjonie, Chrystusów Kościele!
Oto zabity Bóg Twój żyje w ciele;
Śpiewaj z weselem: „Pan króluje z drzewa!“
Jak Dawid śpiewa. Alleluja.

Pieśń wielkanocna z Krakowa



M. Jocz

KS. WŁADYSŁAW STANISZEWSKI

ŚWIĘTO TRIUMFU BOGA

„Zmartwychwstanie jest bolesnym trudem i wprzód trzeba wojnę prawdy wygrać w sobie”.

(C. Norwid)

„Wesoły nam dzień dziś nastąpi — tego dnia Chrystus zmartwychwstał. Alleluja”.

Jakże inaczej było jeszcze przedwczoraj, w Wielki Piątek kiedy to zapadły się wszystkie nadzieje. Załamały się serca i zdawało się, że wszystko stracone. Nad Mistrzem przeprowadzono straszliwy proces stosując tortury, jakie złość ludzka wymyślić była zdolna. Złość i nienawiść ludzka zgasiły światłość i miłość Bożą. Pozornie i nie na długo zdawało się, że człowiek zabił Boga; że Go unicestwił.

Ziśliły się proroctwa Starego Testamentu. Wychylił Syn Boży do dna kielich goryczy i kłeski, jaką Mu zgotował człowiek, kiedy to do rozpiętego pomiędzy niebem a ziemią i konającego miotał z dołu bluźniercze słowa nagrawania: „Jeżeli jesteś Synem Bożym, zstąp z krzyża. Dopomóż sam sobie. Innym pomagał, a sam sobie dopomóc nie może”.

Na szale walki o zbawienie duszy człowieka ofiarował Bóg-Człowiek wszystko — a żeby wygrać wszystko. Po kłesce największej, jaka tylko być może, a wyrażonej słowami ludzkimi: „Boże, czemuś mnie opuścił” — nastąpił kupiony za cenę ofiary największej równy jej triumf — wyrażony słowami Boskimi: „Jam jest, który jest”.

„Nie lekajcie się! Jam jest Pierwszy i Ostatni i Żywy. Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków i mam klucze śmierci i piekła” (Obj. 1, 17-18).

Po trzech dniach, jak przepowiedział, rozstąpiły się w tajemniczy i cudowny sposób mury grobowca, rozbległa się w popłochu straż, a na odwalonym kamieniu grobowym stanął On, Alfa i Omega ludzkości, Zbawca świata, Zwycięzca szatana i śmierci, świętość Przedwieczna, a żeby odtąd świecić kroczącej w cieniu grzechu, cierpienia i śmierci ludzkości, po wszystkie czasy aż do skończenia świata. „Kto za Mną idzie, nie chodzi w ciemności”.

odciął się od Niego. Zerwał węzły wiążący co przyrodzone z nadprzyrodzonym. Spowodował jednym cięciem rozłąkę, separację z Bogiem.

Nieuniknioną konsekwencją była utrata raju, praca w pocie czoła, cierpienie i śmierć.

Czy to tak surowo Bóg zareagował na tę dobrowolną rozłąkę człowieka z Nim? Nie. To człowiek sam wybrał tę nieuniknioną konsekwencję.

Bóg, który jest Bogiem Miłości i Prawdy zareagował inaczej. Reakcją Jego to Syn Boży, Jezus Chrystus; Agnus Dei, Baranek Boży, który gładzi grzechy świata.

Pan Jezus wziął na siebie cały ból tej rozłąki. Unią pomiędzy Bogiem a człowiekiem, i naodwrot, jest i będzie do końca świata Krzyż, Chrystus Ukrzyżowany i Zmartwychwstały, który przywrócił człowiekowi życie nadprzyrodzone i dopuszcza go do intymnego życia nadprzyrodzonego z Bogiem, do pełni życia w szczęściu absolutnym i chwale wiecznej.

Oto odpowiedź na pytanie Piłata zadane Jezusowi podczas procesu: „Co to jest Prawda?” Odpowiedź, którą Chrystus zamknął w tych słowach: „Jam się po to narodził i na to przyszedłem na świat, abym wydał świadectwo Prawdzie”.

Dla pogan i nowoczesnych bezbożników prawdą jest: „Będziecie jako Bóg sam” — „Nie chcemy, aby On królował”. Dla nich prawdą jest, że nie ma Boga, jak również że nie ma duszy nieśmiertelnej. Dla nich prawdą jest materia, siła militarna i policyjna. To dywizje pancerne, to państwo absolutne, to totalizm statolatrii. Ich bogiem to filozofia ułatwionego życia i użycia: „wszak żyjem tylko raz”.

Dla nas natomiast prawdą

jest, że istnieje świat widzialny i niewidzialny, że jest życie przyrodzone i nadprzyrodzone, że życie nasze ziemskie jest tylko przedśionkiem, ale nigdy nie ostatnim słowem Boga i chrześcijanina, że chrześcijaństwo jest zmartwychpowstaniem. Jak pisał Chesterton po swym powrocie z Polski: „W chrześcijaństwie jest niekończące się ożywianie rzeczy ludzkich a nawet pogańskich. Nie wierzymy, a żeby cokolwiek było stracone; nie przypuszczamy, aby były jakieś stałości beznadziejne... Kiedy byłem w Polsce i słyszałem znów narodowy hymn Polaków, to powiedziałem im, że słowa ich przypominały mi słowa, które były stare, kiedy wszystkie nasze pieśni były nowe i które będą nowe, kiedy wszystkie nasze pieśni będą stare, mianowicie: „Jam jest Zmartwychwstanie i ży-wot”.

Dla nas prawdą jest „Baranek Boży, który gładzi grzechy świata”, ten milczący nieraz Bóg, cierpliwy ale sprawiedliwy, „Pierwszy i Ostatni”, który w każdej wojnie Jemu wypowiedzianej ma ostatnie słowo, który wbrew czy nawet na przekór obliczonom ludzkim swoje wielkie przeprowadza plany. „Ojciec mój działa aż do tej chwili i ja też działam” — powiedział Pan Jezus (Jan 5, 17).

Dla nas Prawdą jest Chrystus Ukrzyżowany i Zmartwychwstały, prawdą, w którą wierzymy, odkąd 1000 lat temu optowaliśmy za Nim i za Jego Kościołem; prawdą, która jest tajemnicą naszego narodowego istnienia.

Stąd też święto Zmartwychwstania Pańskiego ma dla nas Polaków szczególny charakter, charakter święta jak gdyby narodowego. Z ks. Piotrem Skargą modlimy się: „Krzyż Twój, Jezusie Boże, jest chorągiew nasza; izali ją kto nam poniżył i pod nią nas zwyciężyć może?” Aczkolwiek z Cyprianem Norwidem rozumujemy, że zmartwychwstać jest bolesnym trudem i wprzód wojnę prawdy trzeba wygrać w sobie”.

Jak mówi Krasieński: „Próbę grobu my odbyli. Prawem naszym

[Zmartwychwstanie. Dzisiaj lub jutro dasz je Panie.”

Ks. Władysław Staniszewski

NIEDZIELA WIELKANOCY

LEKCJA

I Kor. 5, 7-8

Bracia: Uprzątnijcie stary kwas, abyście się stali nowym zaczynem, jako też przasni jesteście. Albowiem na Paschę naszą został ofiarowany Chrystus, świętujmy tedy nie na starym kwasie, ani też w kwasie złości i przewrotności, ale w przasnikach szczerości i prawdy.

E W A N G E L I A

Mar. 16, 1-7

W on czas: Maria Magdalena i Maria Jakubowa i Salome nakupiły wonności, aby pójść i namaścić Jezusa. I bardzo rano w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. A mówiły do siebie: Któż nam odsunie kamień od drzwi grobowca? I spojrzawszy, ujrzały odsunięty kamień. Był bowiem bardzo wielki. A wszedłszy do grobowca, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą, i zdumiały się. Ale on rzekł im: Nie lekajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz go tu, oto miejsce, gdzie go złożono. Ale dźcie, powiedzcie uczniom jego i Piotrowi, że was uprzedza do Galilei; tam go ujrzycie, jako wam powiedział.



STANISŁAWA ROGALSKA

ZMARTWYCHWSTAŁ!...

Wskróś nocnych cieni
w słońca promieniach
szedł świt.....
Różanej zorzy
oczy otworzył
blaskami kwitł.
Siał drżące błyski
i kwiatów wonie z kielichów pił
w słońca jasności
w ptasząt radościach
żył.....
I szedł w opalach
i szedł w kryształach
w błękitnych mgłach
błogosławieństwo niósł ziemi całej
w ros jasných łzach.....
Szedł świt.....
..... — A nad grobem, co wczoraj przywalon był
hańby pieczęcią [skałą,
znużone straże drzemały. Czasem zbroja zachrząści
czasem się włócznia chwieje w dłoni uspiętego
— mówili że Ten wstanie ponoć dnia trzeciego
rano.
Ten umęczony
i ukrzyżowany
kamieniem przywalony.....
Od kiedy trupy wstają po swoim pogrzebie?.....
Ot baja
oczywista!
A straże tak znużone...
Aż oto

.....Siła nieznaną co grób rozsądza!
...I w trwodze żołdak padł na kolana
na twarz — przed władzą!
Zmartwychwstał?!
Aż przedświt czysty przez okamgnienie
stanął w płomieniach
zmartwychwstał!.....
.....I szły niewiasty w dzień po szabacie
niosąc wonności
i szły zbolale serdeczną stratą
całe w żalnościach.....
I szły tak rankiem a skłopotane
bo: „któż nam z grobu odsunie kamień?”
.....A w wieczerniku smętnie siedzieli uczniowie
pełni wewnętrznej trwogi i straszliwej troski
Na krzyżu w mąk ohydzie skonał przy nich —
[CZŁOWIEK
i gdzie jest Jego siła, Jego wszechmoc Boska?
I trwali tak dręczeni zwątpieniem i żalem
Aż wtem wpada niewiasta, piękna Maria z Magdali
i radością promienna, w zachwytach, łzach cała
ledwie mogła wyszeptać „Panam dziś
Gdzie?!!!..... [widziała!!!...“
Przy grobie —
szedł ku mnie w blaskach poranka różowych,
z glorią zwycięstwa nad głową
wołałam; Rabbi! — I kękłam z pokorą
A On rzekł do mnie „Noli me tangere“
Zniknął wśród blasków wybóstwiony, czysty —
zmartwychwstał.....

Stanisława Rogalska

Sprawa, którą można i trzeba załatwić

Przywrócić krzyż w koronie Orła Polskiego



TADEUSZ BOROWICZ

Są sprawy, które w wirze wydarzeń codziennych wydają się mało ważne i którymi podobno nie warto się zajmować wówczas, gdy w grę wchodzi zasadnicze, realne i żywotne zagadnienia narodu. Mówi się o tych sprawach, że są one czysto symboliczne i nie posiadają namacalnego, dotykającego znaczenia w całości naszych trosk i zmartwień. A jednak, rzeczy napozór drobne są często rzeczami najbardziej zasadniczymi, zwłaszcza, gdy w rzeczywistości nie są one rzeczami drobnymi. Zagadnienie, będące przedmiotem poniższych uwag należy do tej kategorii spraw, które będąc pewnymi symbolami, są jednak zarazem sprawdzianem rzeczy najbardziej istotnej, bo oblicza duchowego naszego narodu, walczącego o byt i o przyszłość. Jest to sprawa wyglądu godła Rzeczypospolitej — Orła Białego, sprawa tym większej wagi, że istniejąca i niezłaćwiona w momencie, gdy obcy okupanci w Kraju usiłują — przywłaszczając sobie bezprawnie — zniekształcić nasze godło państwowe, pozbawiając Orła Polskiego korony.

DEKRET Z ROKU 1928

W godle państwowym Rzeczypospolitej brak znaku krzyża w koronie od lat dwudziestu pięciu. Brak ten datuje się od dekretu Prezydenta z roku 1928, określającego wygląd godła państwowego, w którym poprzednio, w koronie orła widniał znak krzyża. Dekret Prezydenta usuwał motyw krzyża z korony, zastępując go innymi motywami.

Społeczeństwo polskie w przynajmniej większości katolickiej, przyjęło wówczas ten akt prawny nie bez poważnych zastrzeżeń, przypisując go całej postawie ideowej kół rządzących Polską po maju roku 1926. Sprawa miała głośnie echa w prasie i w różnych wystąpieniach publicznych na terenie całego Kraju, — po pewnym czasie jednak przebrzmiała i fakt pozostawał faktem: z mocy prawa w godle państwowym katolickiego narodu nie było znaku wiary, którą ten naród wyznawał.

Według obowiązującej wówczas a i według następnej konstytucji aktami prawotwórczymi były dwa źródła: ustawa i dekret Prezydenta. Omawiany tu akt powstał drogą dekretu, a nie ustawy sejmowej. Powodowało to, że mógł on być w każdej chwili zmieniony również zwykłym dekretem Prezydenta. Mogło to nastąpić i w okresie przed wojną, czyli do roku 1939 w Kraju, i po wybuchu wojny na emigracji, gdzie Prezydent sprawował w dalszym ciągu funkcję głowy państwa, włącznie z prawem wydawania dekretów z mocą ustaw.

GŁOS BISKUPA POŁOWEGO

W drugim roku wojny, na obchodzie rocznicy Powstania Wielkopolskiego, który odbył się w Szkocij w roku 1940, J. E. Ks. Arcybiskup Józef Gawlina jako ówczesny Biskup Połowy Wojsk Polskich przemawiając przypomniał ową sprawę wprowadzenia imienia Bożego i znaku krzyża w godle państwowym i na sztandarach wojskowych.

„Cały kraj będzie Panu Prezydentowi i Panu Premierowi wdzięczny — oświadczył Ks. Arcybiskup — jeśli Orłowi polskiemu przywrócony zostanie krzyż Zbawiciela, a sztandarom wojskowym Imię Boże...”

Jak wiadomo, ten apel Arcybiskupa pozostał bez echa. Cze-

ściowo jedynie został zrealizowany dopiero później, mianowicie w roku 1943, gdy gen. Kazimierz Sosnkowski jako Naczelny Wódz wydał rozkaz umieszczenia na sztandarach Imienia Bożego. Godło Rzeczypospolitej pozostało nadal bez krzyża w koronie. A w kilka lat później komuniści w Polsce okaleczyli Orła Białego, pozbawiając go królewskiej korony.

W DNIU ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO SKŁADAMY WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ, NAJPRZEWIELEBNIEJszemu OPIEKUNOWI UCHODZCTWA POLSKIEGO J. E. KS. ARCYBISKUPOWI JÓZEFOWI GAWLINIE, PRZEWIELEBNYM KSIĘŻOM WIKARIUSZOM GENERALNYM, WIELEBNEMU DUCHOWIENSTWU, POLAKOM W KRAJU I NA OBCYZIŃNIE, CZYTELNIKOM, WSPÓŁPRACOWNIKOM I PRZYJACIOŁOM NASZEGO PISMA

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA „WESOŁEGO ALLELUJA”

GAZETA NIEDZIELNA

Społeczeństwo w Kraju nigdy się nie pogodziło z niezrozumiałym aktem, jakim był dekret z roku 1928, usuwający krzyż z godła polskiego. Społeczeństwo na emigracji w czasie wojny i obecnie tym bardziej nie rozumie, dlaczego sprawa tak oczywista i prosta nie została dotąd

GŁOS INSTYTUTU AKCJI KATOLICKIEJ

Sprawa usunięcia i potrzeby przywrócenia krzyża w koronie orła w godle państwowym była dwukrotnie przypomniana na dwóch kolejnych rocznicach zjazdach Instytutu Polskiej Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii.

zauważyć i śledzić będzie jej przebieg, domagając się stanowczo, by godło państwowe narodu katolickiego zawierało motyw, symbolizujący wiarę naszych przodków. Gdy bezbożni okupanci walczą z Krzyżem w Kraju, usuwając znak chrześcijaństwa zewsząd gdzie tylko mogą, —

MY W NIEWOLI... MY W NIEWOLI...

STANISŁAW STRONSKI

Nie tylko od ostatniej Wielkanocy, ale nawet w krótszym, ledwie trzymiesięcznym, okresie od Bożego Narodzenia, wiele się w świecie zmieniło. Zmieniło się na Zachodzie, zmieniło się na Wschodzie, zmieniło się i u nas w Kraju. Ale na lepsze dla Polski jeszcze się nie zmieniło.

Wcale nie mała zmiana, przeciwnie, nawet znaczna i huczna, zarysowała się na Zachodzie w Ameryce. W postawie wobec Rosji, czyli w sprawie rozstrzygającej dziś na gruncie międzynarodowym, zjawilo się, zamiast poprzedniej zasady tylko t.zw. powściągnięcia Moskwy w jej zaborczym pochodzie, hasło wyzwolenia narodów, które już ujarzmiła. Więc dla Polski jest to, czy może być, zwrot bardzo istotny. Nie było tego hasła jeszcze na ubiegłą Wielkanoc, zjawilo się w połowie roku 1952 wraz z otwarciem okresu wyborczego w Stanach Zjednoczonych Ameryki, a z chwilą objęcia władzy przez nowy rząd prezydenta Eisenhowera, w styczniu 1953 oczekuje się urzeczywistnienia w tym duchu. Jeszcze ich nie widać. Nie trzeba narzekać na to ani o to się zżymać, gdyż taki zwrot z dnia na dzień się nie dokona, a to dopiero dwa i pół miesiąca nowego rządu w Waszyngtonie. Ale też i pochopne i przesadne byłoby twierdzenie, że już się zmieniło, albo też choćby, że już widać jak się zmieni.

Również na zachodzie od Polski, bo w Europie Zachodniej, od ostatniej Wielkanocy ruszyło się ku zmianom, dotyczącym Niemiec, a więc dla Polski bardzo zawsze ważnym. W końcu maja r.ub.

zawarte zostały dwie umowy z Niemcami Zachodnimi, w Bonn i w Paryżu. Umowa w Bonn, między trzema mocarstwami okupującymi, Stanami Zjednoczonymi Ameryki, W. Brytanią i Francją a Niemcami, znosi okupację na rzecz całkowitej niemal samodzielnosci państwowej Niemiec z nieznacznymi pozostałościami nadzoru zewnętrznego. Umowa w Paryżu, między Francją, Belgią, Holandią, Luksemburgiem, Włochami i Niemcami, z ubocznymi zapewnieniami brytyjskimi i amerykańskimi, przewiduje stworzenie Wspólnoty Obronnej Europejskiej i wspólnej armii, z udziałem Niemiec. Umowy są z sobą związane i zniesienie okupacji Niemiec następuje po stworzeniu Wspólnoty Obronnej. Dzieje się to w siedem czy osiem lat po klęsce Niemiec, których powrotu do udziału w życiu międzynarodowym, po tym co zrobili w wojnie, tak rychło nie przewidywano. Nic dziwnego, że są opory i obawy, w których produkuje Francja, zwłaszcza, że Niemcy wcale wyraźnie wysuwają już dążności odwrotowe, szczególnie w doczne na granicy Odry i Nyssy.

Od Wschodu, w Rosji zmianą na pewno nie mała jest śmierć, miesiąc temu, 5 marca 1953, Stalina. Rozpiętość różnic, w ocenie tego zdarzenia i jego następstw może być i jest bardzo duża. Niewątpliwie jednak, niesie ono w sobie dla Moskwy nie dogodności, lecz trudności i kłopoty. Po trzydziestu bowiem latach jedynowładztwa

Stalina, przestawienie się na inną osobę lub zespół pociąga za sobą nie tylko niechybne zawikłania, lecz i nieuchronne starcia. I ta śmierć ma przeto znaczenie światowe.

U nas, w Kraju, nie było, w tym okresie, zastój w zmianach na gorsze. Nawet to, co się stało od ostatniej Wielkanocy, a mianowicie, konstytucja na wzór moskiewski z 22 lipca 1952 i wybory z 26 października 1952, nie jest najdonioślejsze, gdyż wszystko zło z tym związane i tak już istniało, a mianowicie całkowite bezprawie z taką czy siaką niby - konstytucją i — wybory bez prawa wybierania. Gorsze są, już po ostatnim Bożym Narodzeniu, zarządzenia mniej rozgłośnie, a złowrogie, a mianowicie najgroźniejszy dekret z 7 lutego 1953, odbierający Kościołowi prawa własnego zarządu i narzucający zarząd komunistyczny, oraz dekret z 9 lutego 1953 o możliwości wywłaszczenia także już i małych, chłopskich gospodarstw rolnych. W dziedzinie ducha i ziemi podbój naciska.

Oto stan rzeczy. Zmiany zewnętrzne w świecie, gdy mogą być na lepsze, są dopiero zapowiedziami, a z którymi, zwłaszcza zachodnio-europejskimi, wiąza się nowe niebezpieczeństwa. Zmiany wewnętrzne, krajowe, pogłębiają ujarzmienie. Jest ciężko.

Prawda i trzeźwość, które zawsze są zdrowsze od złudzeń, każą mówić, jak w dobie rozbiorów, że rok po roku mija, a my w niewoli, my w niewoli... po prostu, bez rozpaczy, z niezmienną wiarą w jutro.

Stanisław Stronki

niech w godle państwowym Polaków w wolnym świecie zabłyśnie nie ponownie znak Krzyża, który przyswiecał naszemu narodowi w całych dziejach.

REFLEKSJE

Może nie warto wracać do przeszłości i odgrzebywać powody i intencje, które doprowadziły do tego niefortunnego aktu, jakim był dekret z roku 1928. Może nie pora, by ujawniać inicjatorów tego kroku, krzywdzącego nasz naród. Do niczego by to zresztą dziś nie doprowadziło. Ale trudno się powstrzymać od spostrzeżenia, że odkąd znak Krzyża zniknął z naszych symboli państwowych, odtąd rozpoczął się niezwykle ciężki i tragiczny rozdział naszych dziejów. Zaledwie w pięć lat bowiem później gromadzić się nad Polską zaczęły groźne chmury, z których burza lat 1939-1945 i lat obecnych, powojennych stanowi jedną z najtragiczniejszych kart historii Polski. Czyżby to był zwykły zbieg okoliczności?

Można nie wierzyć w znaczenie pewnych symboli i w to, że symbole zewnętrzne decydują o wewnętrznej treści. Można powiedzieć, że symbole komunizmu, narzucane naszemu narodowi w Kraju również nie zmieniają duchowej jego postawy i są bez większego znaczenia. Ze więc symbole można w ogóle lekceważyć, że jest to sprawa, której nie należy przeceniać.

Ale znak Krzyża w koronie Orła Polskiego to nie tylko sprawa czystego symbolu. To przede wszystkim sprawa dania zewnętrznego wyrazu temu, czym naród żyje obecnie, mimo ucisku i prześladowania w Kraju, czym żył we wszystkich pokoleniach poprzednich i czym chce żyć w przyszłości. Znak wiary w godle państwowym, to najwymowniejszy obraz nierozzerwalności polskości i katolicyzmu, w duchu którego naród nasz żył, rozwijał się, walczył, upadał, ale i zwyciężał na przestrzeni lat tysiąca. Polskość jest nieoddzielna od katolicyzmu, a więc znak polski musi posiadać elementy wiary chrześcijańskiej.

ZACZYNAJMY OD KRZYŻA

Po latach rozbicia wewnętrznego, jałowych waśni i sporów zbliżamy się nareszcie ku prawdziwej, organicznej jedności polskiej na emigracji. Byłoby chyba rzeczą nierozumiałą, gdybyśmy okresu naszej wspólnej, w zjednoczeniu prowadzonej walki nie rozpoczynali z Bogiem, w Imię Boże i pod Bożymi sztandarami. Nie ma bardziej odpowiedzialnej chwili, niż chwila obecna, by błąd roku 1928 naprawić, — by na koronie Orła Białego pojawił się ponownie Znak, o którym powiedziano, że w tym znaku się zwycięża. Byłby to najwymowniejszy objaw zjednoczenia w imię Boże dla walki o sprawę polską.

Rzecz nie zawiera w sobie żadnych istotnych przeszkód ani trudności. Przeciwnie, sprawa jest wyjątkowo łatwa i prosta. Naród chce mieć w symbolach swego państwa znak Krzyża i domaga się przywrócenia tego znaku przez tych, którzy są symboli państwowych nosicielami. Co Prezydent R. P. wprowadził dekretem w roku 1928, to Prezydent R. P. może zmienić dekretem w roku 1953. A społeczeństwo polskie oczekuje od lat dwudziestu pięciu na tę zmianę, gdyż w jego pojęciach Krzyż i Orzeł Białe to dwa symbole nierozdzielne.

Tadeusz Borowicz



CHWALIĆ BOGA — NIEŻLE

OPOWIADANIE GÓRNIKA

JAN WIŚNIEWSKI

— Idź-ze, idź, spicoku, z takim głupim gadaniem. Co ty ta możesz wiedzieć o nieszczyńcu? Ze ci się teraz nie powodzi — to zaraz: ojej, ojej — i stękosz. A choćby ci ta i źle było, to żeby zaciśnij i rzeknij se: przetrzymom. Bo to ci powiem, że twardego chłopca to się i nieszczyńcu przelęknie. — Popatrz się hań, bez to okno. Widzisz, jako tam okrutnie wyrwa w ziemi? To! — by się tam ze cztery chałupy ze stodołami zmieszcilo... Nie potrzebuję ci klarować, że się chodnik na dole oberwał i stąd to zapadliśko, boś przecie górnik — to rozumiesz. Ale popatrz się dalej na tę chałupę za wyrwą, co w niej teraz Magda Kowalczycka siedzi. Miarkujes? No! Bedzie temu dobre kilka lot mieszkał w niej Wicek Wadas. Za ślepra tu na rudach robił. Chłop był robotny, mocny, rozrostły, ale szczyńcu nijakiego nie miał. Kiej się kaj zawałiło w chodniku, albo woda, czy kurzawka na kopalni poszła, to już ludzie odrazu powiadali: „No, musiał tam kajś niedaleko Wicek Wadas robić. Kiej się tak stało: bo on zawdy coś zmachluje. A on nawet nie był krzyw niczemu, ino tylo, co tego szczyńcu nie miał. — I to nietylko w robocie, ale i tak we wogóle. A nojprzódzi to do dzieuch. No i — co tu dużo gadać, kiej go i nie mógł mieć.

Przychodził bez jeden rok, przychodził bez drugi, to my się ta i poznali, bo choć niewiele gwarzył — przecie choć: ciut, ciut — a musiał powiedzieć. Z tego wszystkiego godania tyłem wymiarkował, że się chłopu nie przezbaby. No, juści ci nie wota: jako to tak chodzić po świecie w pojedynkę, a do tego jeszcze szczyńcu do dzieuch nie mieć?... Cnie sie...

Któregoś dnia powiadam do niego:

— Wiesz co, Wicek?... Ozy ni! byś ty się — przecie nie pasuje, żebyś tak, jak ten odyndec som w chałpie siedziol.

On barami wstrząchnął i pado.

— Hym, pewnie, ale z kim? Cóż-to nie wicie, jako sie na mnie dziwki patrzom?

— E... niech sie tam patrzom, jak cheom, a ty mi troche ceskich dej i jo z wódka za swata podo...

— Hym...

— Nie bedziesz sie szkodo-woł: zobaczysz... No to dzieuchy, jak dzieuchy... i wydziwiają i to i owo, ale kiej zojść z wódka, a pogodać, to ta i przepiją do swata.

— A kogóz mi raicie? — pyto.

Pomyślałem se dokumentnie o jedny, o drugij, i trzecij i mówię tak:

— No, a cobys powiedział, kiejbym tak poszedł do Franki Kwiczotki?

— Popatrz się hań, bez to okno. Widzisz, jako tam okrutnie wyrwa w ziemi? To! — by się tam ze cztery chałupy ze stodołami zmieszcilo... Nie potrzebuję ci klarować, że się chodnik na dole oberwał i stąd to zapadliśko, boś przecie górnik — to rozumiesz. Ale popatrz się dalej na tę chałupę za wyrwą, co w niej teraz Magda Kowalczycka siedzi. Miarkujes? No! Bedzie temu dobre kilka lot mieszkał w niej Wicek Wadas. Za ślepra tu na rudach robił. Chłop był robotny, mocny, rozrostły, ale szczyńcu nijakiego nie miał. Kiej się kaj zawałiło w chodniku, albo woda, czy kurzawka na kopalni poszła, to już ludzie odrazu powiadali: „No, musiał tam kajś niedaleko Wicek Wadas robić. Kiej się tak stało: bo on zawdy coś zmachluje. A on nawet nie był krzyw niczemu, ino tylo, co tego szczyńcu nie miał. — I to nietylko w robocie, ale i tak we wogóle. A nojprzódzi to do dzieuch. No i — co tu dużo gadać, kiej go i nie mógł mieć.

— Do Franki?... Ano, to idźcie, spróbujcie... Hy, hy, hy... Juści... Do Franki.

Franka Kwiczotka tyż na kopalni robiła, przy oberce galmanu. Swarno nawet bycia dzieucha, na gębie bioła, pociągła, w sobie chyba — ocy miała duże, ciemne i takie jakiesi zamysłone, kiedby nikogo nie widziola. Ale cuz jej z tego przysło, kiej sie chłopki z niej prześmiwoli, a to bez, to, że bez zęby godała, kieby ciągle kluski gryzła. Co sie to odezwie, to ją zaraz przedrzyznajom: „He, he, he... Franka... ce, ce, ce...“

A ona na to sytoli:

— Idźcie, pierony, idźcie... już do was nic nie powiem!... I nie godała nieraz i dwa dni... Ino jak se sła z kopalni sama do domu, to wyciągała te spiwki o śleprze, a zawdy bez zęby i z kluskami:

„Nikt tak duża nie ucierpi, jak ten śleper musi. Choćby szkały z piętra prały, to on wozic musi.“

Więc jak-em o ożynku z Wickiem gwarzył, tom se zaraz pomysłol tak: I z niego sie prześmiwajom i z nij, no to może sie pobierom i będzie im dobrze...

Wleczorem wzionem flache i poszedem do Franki. Ojca już nie miała, ino matka. Jak-em wszedł, staro odrazu cosik zmiarkowała, chytremi oczkami strzylo pytający, bo ją ciekawość spiro: od kogo ide. Rękawem stół obtarła, sadzo mnie na stołku, gwarzy niby o tem, o owem, a wciągle ino o jednym myśli.

Jo se przysiod, odpowiadom, to do Franki. to do starzy sie zwracom, aż wręście o kieliszek prosze...

Staro zaraz sie zerwała, kieliszek podaje, takorado, godojąca, ale Franka — nic. Patrzy sie tymi ślepiami na mnie, kieby sie dziwowała. Mnie ta tyż niesporo godać, że to niby od Wicka ide... ale wręście godom. Patrze sie, a Franka sie ośmiała i miarkuje, że rado... „Hm, dobra“ — myśle se...

Kiej-em skonczył, ona ręką ocy przysionila, jak potrza i — Gul! wypila te wódke.

Pobrali sie... Miłowali sie tak, co niedowypowiedzynie... Śmiechu nawet z tego było, bo to i na dniówke razem se śli i wracali razem kole siebie i jeszcze do tego za rękę sie prowadzili, kieby jakie dzieci... On se kroczył wielgi, niezgulny bucioram pacaając, a ona kole niego nóżkami przebieiała, tako chybko, zgrabno, że aż przyjemność... Nie odstępował od siebie ani na krok. Kiej on jakim szybkim na dół zjeżdżol, to ona na różne sposoby sie starała, krzątała i zawdy na tym samym szybiku galmon obierała.

Patrzacy na nich myślałem

se: „No, przecie sie ta Wicekowi odmieniło i szczyńcu zażyje. Ale kaj-ta! Z zoną szczyńcu, a na kopalni po staremu... Co sie kaj źle nie robi — to Wicek napewno gdzieś robił blisko. Roz na pochylni spinol wozy. Łańcuchy były w porządku, wszystko elegancko, a tu ci już prawie pod wierchem ostatni wóz sie urwol i grzmi nadół, jak djasi! Dozorca prawie szedł od góry. Wóz w pochylni dudni, rwie nadół... Dozorca sie ledwie umknył, a nawet go troche przytluklo.

— Do pierona z tym Wickiem! — kleni doobkolo.

Ale mój Wicus już teraz inakszy. Down'j to sie wszystkim mortwił, sumował sie kiej ta sowa, a teraz ino sie usmichol, w elgą głową k'woł i zawdy se coś dobrogo we ziem znoalozł. A kiej co zacynoł godać, to zawdy od tego: „Ano chwolic Boga — nieźle“.

Mieli Wadase kawatek pola.

Poprawdzie to ta kam'ien na kamieniu na tym gruncie lezoł, a piachem sie przesy-pował, ale zawdy, czy to zimniok wsadzić, czy żyto posiać — to im było lży.

Kiejsi nad ranem z placu jużem s'e wrócił i siedze w cajorzu tak troche dzemiacy, jak to zawdy stróż na nocny dniówce. Aż tu cosik jak nie zalomocze, jak nie gruchnie, ażem sie zerwol na równe nogi! Słuchom: kamienie sie spią, ziemia tapie. Wyleciołem na dwór, a Wicek i Franka już z chałupy wypadli.

— Dyc uciekajcie, bo chałpe wam może nadół wciągnąć!

— Trza statki ratuwoć! — woła Wicek i w dyreka do chałpy wraco. Na szczyńcu e n'e tapalo węczej.

— No, widzisz, pół pola ci wzieno... — powiadam do Wicka. A on sie usm'cho, wilgą głową kiwo i godo:

— Ano, chwolic Boga — i tak nieźle... Przecie jakby chałpe wciągl, toby było gorzej.

Myśle sie: „kiej tak mówis, n'e ch ta będzie po twojemu.“

Niedlugo potem, jak sie pole zawałilo, Frankę z kopalni oddolil. Nie dzwota — kobiecie przecie nijako robć, a to tymbardziej, że już dzieci zacyzny na swiat przycho-dzć, a pierwsze odrazu bliźnioki. Bieda coraz większo, ó zarobek trudno. Wicek chodzi, medytuje, rozmyślo...

M'eli akuratnie wtedy szybik rozbiroć, tyn, co to po nim dół widać, tutaj zaraz na lewo...

Wicek do zaw'adowcy polecioł:

— Panie n'zinierze, — powiadio — podobno 22-gi szybik mo być rozebrany?

— Tak. — Doproszom łaski pana niziniera, żeby mn'e pozwo-lił rozbiroć, a jo se wezne to drzewo, którem szyb budowany.

— Hm, widzicie, Wadas... Da'bym wam ale drzewo przegn'le, rozbiórka trudna, a sami przecie wiecie, że sie wam na kopalni jakoś nie darzy... Jeszcze sie szyb zawał, jak będziecie ciągnąć drzewo... Bo to o nieszczyńcu nie trudno, a zwłaszcza przy was.

— E, panie nizinierze, dyc przec'e wydole... Bo mi to pierwszyna?

— Nie! Boję s'e. Już i tak o was cała dopalnia mówi, że nie macie szczęścia.

Co było robić? Wicek sie pokonił i odszedł, ale Franka na drugi dzień poleciała do zaw'adowcy. No, a wiadomo że tam kajby djobeł nie poradził, to jednakowo baba wskóra. Zaw'adowca im pozwol na rozbiórke.

W'cek kilofek se wzion, linie do haszpla pożyczyl idą se z Franką do 22-go szybiku. Zjechol nadół po linie, kilofkiem w drzewo wali, wiąże na podszybu a Franka na wierch je wyciągo... Kilkanaście okraglaków już wydostali, Wicek przybližo sie do góry i już jest prawie na drugim poziomie.

— Słuchoj! — woła z dołu do Franki.

— Godoj! — odpodziola.

— Jo tu jest już przy chodniku drugiego poziomu. Zdrowe tyż tu drzewo w chodniku, no, ho! Zebym tak miał pozwolenstwo, tobym choć kilka por zabroł.

— Nie godoj, Wicus, nie godoj, ino rób! — mówi Franka i c'agnie zw'azanego okraglaka do góry.

Jakos jej się zaważdzi! o budowę, cy co, więc szarpie i szarpie korba, ale wręście podc'agła. Odwiazala go i linie opuszco nadół...

A tu coś naroz w szybie jekło, steklo, drzewo zatrzescalo i jak sie szyb nie skrynci-ci!... Gruchnął nadół! Nawet haszpel połamao.

Franka umkua, ale jak się już z szybu ino lejowaty dół zostal, leci do niego.

Co sie z n'ą dzialo, to ani wypowiedzieć!! Za włosy sie rękami ucapila i wrzejscy, sytolajcy:

— Wicus, Wicus!... Jezu, co jo zrobiła? To bez to, że s'e drzewo zaważdziło, a ja cią-gła... Wicus, Wicus!!

Jakże jej mlo odpowiedzieć — kiej pewn'e już i nie ży! Jo wszystko widz ołem z okna cajorzu i myśle se: „No, to już i fertig. Ani odkopować nie będzie cego, bo z Wicka ino m'azga!“

Użrała mie i zaroz woło:

— Ratujcie, Antoni, ratujcie, dyc tam W'cek nadole!

— Hm, — odpowiadom — jakże go tu ratować?

— A może przecie, a spróbujcie... O Jezu!... Wołol do mnie z dołu tak niedawno... Ojej!

— Wołol? — padom — a co?

— Że już jest przy drugim poziomie, przy chodniku.

Hm, — myśle — kiej tak wołol, to może sie smyknył do chodnika w ostatniej chwili.

— Pockojcie tu! mówię do Franki, a sam pęde do zaw'adowcy.

Jak sie o Wicku dowiedziol, to ino palcam! strzeli!

— Psiakrew! Wiedzialem, że z tym niedołągą coś sie stanie. Wołać ludzi i hajda!

Innym szybem na drugi poziom do tego chodnika. Zaraz tam będę sam.

Zjechał my nadół piątym szybikiem i idymy pod 22-gi.

C'chuśko, nikt nie krzyczy, nie steko, choć my już blisko podešli.

— Przepod! — myśle se.

Ale n'e. Znalešli my go... Gruz mu prawą nogę strzaszkoł i Wicek lezoł omglaly na sponku, kiej przez duszy.

Wyдали my go na wierch, tam zaroz na nosze i do spitolu kopalniowogo... Franka o malo nie zwarzowała z radości... Calutką c' drogę za noszami s'zła, usmichola sie a te lzy to c'jej po gębie ciekły, kiej dycze po szybach... — Wicus, Wicus, zzyj przec'e... —

We spitolu mu prawą nogę do kolana ucieni i kule dali. Kiej sie wrócił do chałupy (a we spitolu był coś ze cztery miesiacę) taki był blady, że aże litość broła. Chodził se pomaluśku i ręce mu sie trzynisły, jak staremu dz'adowi.

— Co teraz będzie, Wicus?... — mówie — Noge c' odjeni: ani do roboty, ani n'kaj.

A tyn na to: — Ano, chwolic Boga — i tak nieźle, boby przecie mie moglo na śmierć przytluc!

No, popatrz s'e, jaki twardey chlop!... To go nieszczyńcu na kopalni scigało, pole mu wzięło, teraz mu noge ucieni, a tyn powiada: „nie-źle!“... Poprawdzie to w tym m'oi troche racyi, bo za tyn wypadek kopalniowy odszkodowanie mu dali i to niezgor-sze. Te chałpe i ostatek pola sprzedol, a kupil se dom, i troche gruntu na Mazanču.

A na Mazaniec, jak w's, duża letników przyjizdzo, to Wicek se drugą chałpe pobudowol, pola przykupil i teraz se jest panem na kilku morgach. Nie widziolom go już dobre pare lot... Tak...

Ale poczekoj-no!... N'e slyszysz?... Widzi m' sie, jakoby fto kulą na schodkach ganku stukol... A tak, dyc to on!...

— Jak sie mocie, Wicek!... Akuratnie o wos gwarzymy...

— A to dobrze... Bom jo przysedł wos w kumy prosic... Znowuj Franka mo bliźnioki.

— Bójce sie bidy, Wicek! Dyc to już zoszte i siódme dziecko...

— Ano, chwolic Boga — nieźle! Gospodarskie syny będą — gospodarskie na Mazanču!

Jan Wiśniewski.





ANDRUSY



Ryt otworzył z trzaskiem okna. Odrazu buchnęło do dusznej klasy żywe, soczyste powietrze. Nie ulegało wątpliwości: właśnie dzisiaj przyszła wiosna. Już przecież w żaden sposób nie można było uważać podczas lekcji, nie interesowały codzienne zagadnienia, zbladła nawet ostatnia awantura z „Kwiczolem” zamkniętym w komórce. No i żadna siła nie potrafiłaby dziś stłumić radości, co krzykiem i śmiechem wylewała się z rozrzuconych gardeł. Wreszcie ten niepokój, dreszcz emocji lechący stopy do biegów bez mety, prastara tęsknota do przetrzeni, swobody, słońca.

— Gryźbym ziemię — mówi Szpaś, przegrzając na razie chleb ze smalcem.

Klasa się trzęsie. Głowy portargane i pogolone, gładkie i kanciaste czoła cisną się do szyb, rozpychają prostokątne okien. Ryt myśli: ...żeby tak uciec samolotem, albo na białym obłoku śmiać!...

— Rytowski do dyrektora! Ojciec przyszedł! — Jak kamień w mrowisko wpada do klasy rozczwieniony poseł, wstępniak.

Trzeba strzepnąć z siebie fruwające myśli i z rękami w kieszeniach, gwizdząc, nonszalancko

Trzeba teraz ucałować dwie dłonie: zimną, miękką — dyrektora spracowaną szorstką — ojca.

— Proszę pomyśleć o karze dla syna. Ostatni raz daruję. Ale trzeba pamiętać, panie Rytowski, że kto się raz dostał do szkoły...

— Tak jest, tak jest, panie dyrektorze. Serdecznie dziękuję. Już ja jemul!...

Ojciec kłania się nisko i z ulgą zamyka szklane drzwi. W domu z pewnością przypomni sobie rzemień, ale teraz spieszy się do pracy. Na razie sprawa załagodzona. Ryt po pięć schodów wpada na górę. Znosi się z radości:

— Chłopaki! Nici z algebry! Kwiczol zachorował! Chodźmy na dwór!

— Nie wygadałeś?
— Jeszcze co! Bomba pękła! Po strachu! Po strachu, mój brachu!

O, ileż smaku ma wolna godzina! Można nareszcie rzucić się w objęcia wiosny! Można zapomnieć o wszystkim, co smutne i nudne i stanąć do wyścigów z wiatrem! Zostawić duszną klasę i nie wracać jeszcze do domu, w którym pachną mydliny, kapusta i bieda. Jaki szeroki, no-

JADWIGA KORCZAKOWSKA

— Czy się nie pali?
— Stary dowcip, dojeżdż sera.
— Zjadłbym i ciebie, bo mnie zęby swędzą...

Idą we czterech. Ryt nadaża długim krokiem przyjaciół raz, dwa, raz, dwa! Wysuwają się dziarsko naprzód powykrzywiane buciska. Czapki zsunęły się z czoła. Trzeba mrużyć oczy przed światem. Boże mój — nie ma krzywd, chorób, biedy, złości ludzkiej! Na jedną godzinę trwania złota płachta przykryła świat. — Nieokiełzdana radość rozpięra piersi. Rozkosznie jest tak iść władczo, niezależnie, w skupieniu czterech męskich sił, we wspólnej emocji zdobywania szczęścia. Można mruczeć byle co: rumba, rumba, albo nawet stare: marsz, sokoły! Można zapomnieć, ile trudności przyniesie jutro, nie myśleć o niczym, co ma kolor szary — tylko dać się unieść wspólnej fall, która nagle spłynęła z majowego nieba i każe krzyknąć: w i o s n a !

Chce się uczynić coś niezwykłego, spłatać dobrego figla, strzelać z procy, rozpychać przechodniów, bodaj plunąć na odległość!

— No chodźcie, Rytowski, do Skaryszaka. Gapi się! Wisłyś nie widział?

W parku jest czysto, zielono, cicho — jakoś uroczyste. Pusto, ławki czekają gościnnie. Edek z punktu nakreśla metę. Przepada za lataniem. Za pięć lat z pewnością pokona Nurmiego, na amen!

— Edek, nie tu, w bocznice...

Szpaś miał rację. Bo oto w bocznej, zacisznej alei otworzył się niespodziewany horyzont. Sensacja: na ławce, pochylona nad książką samotna pensjonarka. Piskle. Chuchro. Kurczę znie-nawidzone. Niepokojąca zwierzyzna...

— Pst... Chłopaki, damy jej bobu!...

Kto by tam dbał o grzeczność, wychowanie! Sprawa przedstawia się prosto: jest wróg i jest sam. A nadmiar energii aż roznosi. Napał na „białą twarz”! Szpaś wyczylna głupie miny i poklepuje się zwycięskim ruchem po udach. Poszaleli z uciechy, z wesołej okazji.

— Księżniczka dardanelska! Samotnica zakonna! Gęś pokazowała!...

Podjudzają się wzajemnie. Krzyczą, tupią, skaczą. Szaleć, szaleć! Książki wyrwać, beret

stracić, ławkę przewrócić... mało. mało! Niech się czerwieni, niech ucieka, niech piszczy jak nadeptnięta mysz... Tak! Ale... ale niech nie płacze... Chuchro. Nędzota. Bronić się nie umie, tylko w bek. Tfu, do licha, dosyć tego!

Ryt w nagłym ocknięciu zmienia front. Odwija rękawy: — Dosyć, osły! Won od niej! Zdebieli!

złote włosy i w pewnej chwili przypomina mu żółte kurczątka, które wczoraj chuchał w dłoni. I może dlatego wypływa mu na usta szeroki, pobłażliwy uśmiech. Co ma gadać na to świergotanie? Będzie tylko tak, jakby kamieniem między wróble rzucić: spłoszy. Spłoszy te nowe, lechące pochwały, spłoszy ży w niebieskich dziewczynskich



— A te fiołki to sama zbierałam i proszę... ode mnie... na pamiątkę...

— Ty, Ryt, na nas??
— Na was, zbroje! Popróbuje tylko, no!

Kto by zwlekał i darował zdradę! Warunki zostają w mig ułożone. Po jednemu ciągną losy. Wypada Szpasiowi zmierzyć się ze zdracą. O z jaką radosną pasją zwarli się w walce! Zadzroszczą im Puf i Edek. Zapasnicy tarzają się po żwirze, ręce ich wałają na oślep. Tłuką się z zapalem, zachłannie, aż póki nie zabraknie sił, aż języki zlepią się wyzwickami, aż każdy muskuł upoi się zmęczeniem. Wtedy koledzy odciągają Szpasia, pobitego jak nieboskie stworzenie i wsiająką wszyscy trzej w głąb parku żli, mrukliwi. Ryt, zwycięzca, zostaje sam na białej ławce. Dyszy. Myśli ledwo krząją: prawda, pierwszy raz wystąpił przeciw swoim i to o co? O kobiety? Eh, taka tam kukla! Uciekla w międzyczasie. Psia-kość — rękaw rozdarty, znowu będzie sztorcowanie od ojca. Prawda, rzemień i tak będzie w robocie. O tego głupiego Kwiczola. A niechtam! Zostanie tu i do nocy, jak zechce. Sam. Ulżyło przecież. Teraz jest dobrze. Cicho i spokojnie. Ziemia pachnie i powietrze i zielen... Skąd się w nim wzięła ta cikliwość? Czy to miało sens? Jutro chłopakom wytłumaczy, że tylko tak przecież, sztuka dla sztuki. Pewnie!

— Przepraszam pana... Ja tylko chciałam...

Ryt niechętnie odwraca głowę. Patrzą w niego niebieskie oczy dziewczynki. Cała drży z przejęcia i mówi coś szybko, cichutko:

— Schowałam się... za ten świerk... Wszystko widziałam, pan taki dzielny i silny... Boże mój, jak rycerz! Teraz ciepło, wiosna, więc ja tu przychodzę się uczyć, bo u mnie w domu źle, ciemno... A te fiołki to... to sama zbierałam i proszę... proszę na podziękowanie ode mnie... na pamiątkę...

Ryt odczuwa mdłą tkliwość pod sercem. Dziewczynka ma

oczach, spłoszy ciszę, co rozsiała się w upojnym lenistwie nad zielonymi krzakami bzu.

Na zakręcie alei zniknęła granatowa plamka beretu. Nikt teraz nawet nie stąpnie. Ptaki tylko świergoczą zajadle, jakby się dziwiły temu, co się tu działo. Ryt patrzy w zakłopotaniu: na wytartym suknie kolana został mały bukciecik fiołków.

Wiednie sobie takie coś, pachnące, kolorowe. Ryt nie ma wprost siły podnieść pobitej reki i odrzucić precz tego śmieciuszka. Niech tam sobie leży! Zabawne, malusienieczone kwiatki... Przypomina się z minionych lat: łąka... matka... takie same fiołki — dawno! Przyleciało czyjeś dobre westchnienie, pogłaskało w podrapane policzki przymilnie... Musi być gdzieś chyba dużo tej dobroci, co się po świecie rozlewa... Może z tego nieba, może z ziemi, może z kwiatami wyrasta? Patrzącież, taka oto dziewczynska mizerota, ani zwy-myśla, ani się nie nazłości, jeszcze dziękuję. „Rycerz” — mówi... Także coś!...

Po raz trzeci Ryt poddał się tkliwości... Roztańczyły się słodkie, lekkie myśli... Cisza. Ciepło. Ziemia pachnie.

Wiosna.

Jadwiga Korczakowska



Zapasnicy... tłuką się z zapalem, zachłannie, aż póki nie zbraknie sił.

przejsć odważnie do drzwi. Rozjątrzona gromada przyjaciół krzyczy:

— Ryt, trzymaj się mocno! Wyłgaj się! Przebrzydły Kwiczol poskarzył starem! Trzęsido! O nas ani dudu — pamiętaj! Trzymaj fason!

Schodząc powoli w dół Ryt jest już zupełnie spokojny. No, cóż — wyleją, to pójdzie w świat. Teraz wiosna. Kłamka gabinetu jest bardzo zimna. O czy dyrektora patrzeć surowo zza szkieł, a zarzuty wyskakują zabawnie jeden po drugim poświ-stując o złote zęby. O wiele trudniej jest patrzeć w bok, gdzie nieśmiało, na brzegu krzesła, przysiadł spocony ze strachu ojciec.

— Więc mówisz, żeś sam zamknął profesora Kwiczynskiego w komórce?
— Tak. Sam. (Jak lekko jest dziś kłamać!)
— Wiesz, że się przez ten głupi figiel przeziębili?
— Przepraszam. (To teraz będzie wolna godzina? Wspaniale!)

Długo trwają minuty przykrych rozważań i napomnień. Nie, nie chciał wcale, żeby profesor chorował, chciał tylko pomścić niesprawiedliwe dwójce dwóch kolegów. Skądże wiedział, że w komórce od map tak zimno? Ale tak, tak żałuje i przeprasza i więcej nie będzie.

wy jest wiosenny świat!

Jasne trotuary, weseli ludzie, wróble ćwierkające w same uszy.

— Kolorowe dziś dachy, czy co?

— We łbie ci się zmaciło od słońca.

— Żebym tobie nie zmacił, pluskwo! Czego kopiesz psa?

— Pytaj się go, czemu pod nogi lezie, cho...

— Nie mówcie paskudnie, chłopaki. Pójdziemy het, wdół. Wiszę zobaczyć...

H. POTULICKA

SŁOWIK

Słowik zaśpiewał w wielkowiejskim parku, Zaśpiewał nagle w spiekocie i w kurzu.

— Złudzenie: stoję na własnym podwórzu, Oparta o pień chropawy sędziwego drzewa — I ptak i serce wszystko naraz śpiewa.

Niebo się schyla i ciśnie mi skronie... W liście zanurzam rozpalone dłonie —

O śpiewaj jeszcze mały, szary ptaku, Twój głos obmywa i koi i pieści, Ściska za gardło i w sercu szeleści Wspomnieniem domu — na bezdomnym szlaku.

H. Potulicka



MAZUREK DĄBROWSKIEGO NAD JEZIOREM HULE

Fragment dłuższej pracy pt. „Szkice ze Śr. Wschodu“

JULIUSZ LEO

W okresie świąt Wielkiej Nocy roku 1941 brałem udział w krajoznawczej wycieczce po Ziemi Świętej, zorganizowanej wówczas dla dziennikarzy polskich przez związek dziennikarzy palestyńskich. Marszruta, którą zwązek obmyślił, uwzględniała w pełni nasze życzenia zobaczenia przede wszystkim miejsc biblijnych, ale równie odpowiedzialną zamyśłem propagandowym naszym gospodarzy, pragnących nam pokazać gospodarcze osiągnięcia swych narodowych organizacji.

Pamiętam dobrze tę pierwszą wczesną wiosnę na środkowym Wschodzie, jakże odmienną od naszej, tak pełną nieznanymi uroków dla przybysza z dalekiej północy. Choć to był dopiero początek kwietnia, jechaliśmy przez krainę obsypaną dosłownie kwieciami, od którego snuła się daleko woń odurzająca. Pod upalnymi promieniami słońca czuło się już pełny oddech całej przyrody...

Drugiego czy też trzeciego dnia wycieczki, kiedy po zwiedzeniu okolic jeziora Genezaret wracaliśmy na obiad do Tyberiady, powstał projekt wybrania się nad niedalekie jezioro Hule, dokąd marszruta nasza nie prowadziła ze względu na panującą w jego okolicy malarię. Zatrzymaliśmy się właśnie pod El Tabgha, w miejscu gdzie w pobliskich jaskiniach natrafiono i z końcem ub. stulecia na szczątki prehistorycznego człowieka. Badania, rozpoczęte wówczas przez słynnego archeologa Fryderyka Jonesa Bliss, doprowadziły w okresie naszej wycieczki do nowych odkryć, a komisja muzeum Rockefellera z Jerozolimy, która badania te prowadziła, zakończyła swe prace terenowe i wybierała się właśnie do doliny Hule, skąd sygnalizowano nowe wykopaliska. Zdecydowałem się od razu na wzięcie udziału w tej wyprawie i nie miałem tego żałować. Koledzy moi woleli wracać na obiad do Tyberiady. Umówiliśmy się więc, że ich pod wieczór tam dogonię, a tymczasem korzystając z zaproszenia komisji pojechałem jej samochodem na północ. Towarzyszył mi jeden z organizatorów wycieczki, przemijający starszy pan, który zanim mógł powrócić do wykonywania zawodu dziennikarskiego musiał dłuższy czas pracować jako zwykły robotnik rolny w jednej z kolonii, założonej przez Żydów z Polski właśnie nad brzegiem jeziora Hule. Opowiadał mi on w czasie drogi niezwykle ciekawe rzeczy o tym najbardziej na północ wysuniętym zakątku Palestyny. Wkrótce miałem się przekonać, że w słowach jego nie było najmniejszej przesady.

Po dwóch godzinach jazdy szosą, malowniczo wijącą się u podnóża wzgórz północnej Galilei, dotarliśmy do wąskiego parowu, nad którym ciągnęła się niby ogromna platforma skalna. Tu zatrzymaliśmy się, a kierownik komisji objaśnił mi, że w miejscu tym nazwanym przez Arabów Tel-Uks znajdują się miało biblijne miasto Chazor, obecnie teren nowych poszukiwań archeologicznych. Pożegnawszy sympatyczne towarzystwo, udałem się z moim towarzyszem w dalszą drogę i wkrótce dobrnąłem nad brzeg jeziora. Widok, jaki tu rozciągał się przed moimi oczami, pozostanie chyba na zawsze w mej pamięci. Wrażenie odniosłem może silniejsze, ale zupełnie odmiennie od tego, jakie wywarło na mnie Morze Martwe, dwa dni przedtem oglądane w zimnym majestacie jego księżycowego krajobrazu. Tam doj-

musząca pustka, sprawiała aż ból i zyczeń przy patrzeniu na klębowisko martwych brył skalnych, uformowanych w fantastyczne kształty — tu niezwykle przepychy żywej przyrody, oślepiącej kontrastem barw i najdziwniejszych form, niby w jakiejś podzwrotnikowej dżungli.

Nad jeziorem snuły się lekkie opary, spoza których jak zza muślinowej zasłony wyłaniały się raz po raz jakieś ogromne cielska zwierząt, tarzających się w przybrzeżnym mule. Wyglądały z daleka jak stada baraszkujących hipopotamów. Na moją uwagę towarzyszy mój zaczynał śmiać się serdecznie. To wprawdzie już Południe, ale jeszcze nie Afryka... Z bliska zapoznaje się z ciekawą rasą bawołów Djamussi, tylko tu przez Beduinów hodowanych. Z innej strony przychodzi nowe wrażenie... Oko łowi tym razem jakś ogromne i bajeczne w kolorach motyle, potem całe stado ptaszków przypominających do złudzenia kolibry, które obsiadają pobliskie drzewa eukaliptusowe, a znów na jeziorze plawiące się tam pelikany, otoczone wieniec zadumanych czerwonaków...

Minęło południe i cały ten przepyszny krajobraz skąpany jest w promieniach prążącego już słońca. Powietrze jakby stało, nieporuszone nawet najmniejszym podmuchem, i tylko ucho łowi jednostajny szum milionów owadów, rozdarty na chwilę przenikliwym krzykiem jakiegoś ptaka nad wodą. Idziemy brzegiem jeziora i wtem słyszę nadlatującą z oddali pieszczotliwą, czy też tylko zdawało mi się?... Ależ tak! to nasz Mazurek Dąbrowskiego śpiewany przez zespół młodych głosów... Nasz i nie nasz, tak dziwnie akcentowana jest melodia i rytm także jakiś inny... Pomyślałem w pierwszej chwili, że to może wycieczka Junaków, ale ci śpiewaliby poprawnie, po naszymu... Mój towarzysz patrzy na mnie z ukosa i uśmiecha się tajem-

niczo. Po chwili, spoza drzew wychodzi gromada dzieciaków... mogą rozróżnić już słowa pieśni... brzmią obco... nic dziwnego, bo w języku hebrajskim! Zdumienie moje wzrasta i już nic nie rozumem. Przychodzi mi z pomocą uprzejmy cicerone i wyjaśnia, że dzieci śpiewają „starą hebrajską pieśń”, którą on tu często słyszał w czasie swego pobytu nad jeziorem. Kiedy usłuję go przekonać, że to melodia rdzennie polska, nie chce początkowo weryfikować, bo skąd by ją miał i znać, skoro urodził się i żył w Niemczech. W końcu jednak pod wpływem moich argumentów wpada na „dowcipne” rozwiązanie: pierwszą kolonię założyli tu Żydzi z Polski, oni więc pieszczotliwie tu ze sobą. Rozumownie wydawało się na pierwszy rzut oka całkiem słuszne. Trzeba było tylko znaleźć potwierdzenie hipotezy.

Zdążając na kolonię, byłem cały pod wrażeniem zdumienia wycieczki i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że coś więcej kryje się w tej zagadkowej sprawie. Wtedy właśnie przypomniała mi się sentencja znakomitego muzykologa berlińskiego prof. Roberta Lachmanna, który zwykł był mawiać, że „kiepski to badacz, co zadawała się najłatwiejszym rozwiązaniem zagadnienia”. — Nauczyciel szkoły na kolonii utrzymywał również, że pieśń jest de origine hebrajska. Trzeba więc było głębiej sięgnąć, to znaczy cofnąć się w latach wstecz możliwie najdalej. Tym razem szczęście mi dopisało, bo udało mi się odszukać sędziwego rabinę, który przybył w te strony jako młody chłopak z pierwszymi kolonistami z Polski, a więc gdzieś około roku 1890. Od niego dowiedziałem się, że kolonię założył emigranci, pochodzący z Kongresówki. Oni więc pieśń nie mogli tu przywieźć, bo ich

jej pod zaborem rosyjskim nie nauczano. Rabin miał większą jeszcze niespodziankę dla mnie. Oto w dalszym opowiadaniu stwierdził, że słyszał tę pieśń niejednokrotnie już w początkach swego pobytu nad jeziorem i sam ją śpiewał potem po hebrajsku. Zawsze mu mówiono, że jest to dawna miejscowa melodia, na co wskazywały również i słowa, opiewające piękno przyrody w Hule. Choć już przedtem różne myśli snuły mi się po głowie, opowiadał mi rabinę wprowadziło w nie zupełny chaos. Trzeba się było koniecznie zastanowić spokojnie nad wszystkim.

Tymczasem wieczór szybko zapadał i towarzyszy mój zaczął się niecierpliwić. Był czas najwyższy wybrać się w powrotną drogę, jeśli mieliśmy zająć na ostatni autobus z Safad do Tyberiady. Chwilę jeszcze się wahałem, po czym już całkiem zdecydowany zaproponowałem mu, by sam wracał, bo ja postanowiłem pozostać do dnia następnego i podjąć wysiłek rozwiązania dręczącej mnie zagadki. Początkowo nie mogłem zrozumieć, jak można dla jakiejś pieśni burzyć sobie cały porządek wycieczki. Pod wpływem jednak moich dowodów zaczęła budzić się w nim żyłka reporterska i w końcu ku mej radości oświadczył, że pozostanie, by mi pomóc w dalszych poszukiwaniach. Po nocy, która stała się prawdziwą męczarnią, bo spać musieliśmy bez moskiterów, zbudziłem się pocętkowany na twarzy i rękach od bolesnych ukąszeń komarów. Myśl o panującej w tej okolicy malarii popsuła mi na chwilę humor. Ale nie było czasu na dłuższe zastanawianie się nad skutkami komarów ofensywy. Rozpytujać się wśród Żydów, nie znaleźliśmy n.kogo, kto by mógł nam coś powiedzieć o jakimś obcym przybyszu w tych stronach. Dopiero poszukiwania u Beduinów w Dzehule i Buasije doprowadziły do odkrycia człowieka, któremu zawdzięczałem potem wspaniałe odkrycie. Uczepiłem się myśli, że musiał tu przebywać dawnymi czasy jakiś rodak i ten nauczył mieszkańców doliny Hule melodii mazurka, do której sfardyjski wierszokleta dorobił z czasem słowa. Należało szukać trwałych śladów tego pobytu. Ów stary Beduin, który sam sobie ponad setkę lat przypisywał, powiedział nam w wielkiej tajemnicy, że zna miejsce, gdzie bardzo dawno temu pogrzebano jakiegoś gajura. Obiecywał mi miejsce to pokazać, ale za odpowiednio wysokim bakszyszem. Kiedy ustaliśmy jego wysokość i opłata za „wierzchowce” została ostatecznie stargowana, wsiedliśmy w trójkę na zgrabne osiołki i tak rozpoczęła się ta ciekawa ekspedycja.

Zdążyliśmy brzegiem rozległego trzęsawiska, jakie tworzą tam ledwo sączące się wody górnego Jordanu. Bagna te służą uprawie bawełny, a także pewnego gatunku ryżu, wspomnianego już w Biblii jako ryż Hule. Po kilku godzinach męczącej jazdy dotarliśmy do jakiejś wioski arabskiej, a minawszy ją wjechaliśmy na ścieżkę, wspinającą się stromo bo zbocz skalnym. Tu nasze „wierzchowce” zdały egzamin sprawności i tylko jeźdźcy uważać musieli, by utrzymać się na ich grzbietach. Za ostrym zakrętem doleciał nas z góry jakiś szum przedziwny. Kiedy

dojechaliśmy na miejsce, okazało się, że to jeden z dopływów Jordanu opada tu z występu skalnego, tworząc malowniczy wodospad. Tuż obok rozciągała się obszerna łąka z rzadkimi kępami krzaków, a wśród nich bieleły resztki porozwalanych murów jakiejś budowli. Zsiadliśmy i starzec zaprowadził nas na skraj krzaków, gdzie niemym gestem wskazał na ziemię...

Leżała tam płyta kamienna, cała mchem obrosnięta i spowita pnąciami się zieliskiem. Ukłakłem i zacząłem szybko oczyszczać kamień... Już po pierwszym wysiłku ukazał się wyryty na górnej części, duży znak krzyża. Wtedy wiedziałem, że jestem u celu! Jeszcze trochę pracy i cały napis stał się czytelny. Pod krzyżem widniało imię i nazwisko: PIOTR STRZETELSKI, — niżej, w drugim wierszu: Oficer wojsk cesarza Francuzów, — a w trzecim: skrót „nat.”, a więc „natus” czyli „urodzony” i data 1776, poczem postawiono był mały krzyżyk, zapewne na oznaczenie daty zgonu, która jednak nie została na płycie wyryta.

Odpoczywając potem w cieniu rozwalonej ściany domostwa, rozważałem z towarzyszem moim szczegóły odkrycia. Napis był wyryty w języku polskim i daty zgonu nie było na płycie. Prosty stąd wniosek, że ów Strzetelski musiał chyba sam sobie nagrobek przygotować, lub robił to miejscowy kamieniarz, ale pod jego osobistym nadzorem. Nie mogłem odzalać, że napis był tak lakoniczny i nie zawierał więcej szczegółów z życia tego napełno niezwykłego rodaka. Mógł on przybyć do Palestyny z wojskami Napoleona, które tam były w roku 1799, i potem z niewiadomych przyczyn pozostać, a być może zawędrował w te strony dopiero po upadku „boga wojny”, drogą przez Turcję, gdzie wielu naszych znalazło wówczas schronienie. Jedno było dla mnie pewne, że nie kto inny, tylko on właśnie zaszczerpił u mieszkańców egzotycznej doliny miłość do melodii mazurka Dąbrowskiego.

Wracając pod wieczór brzegiem jeziora, słyszałem znów płynącą z oddali tę „starą pieśń hebrajską” — jakże obcą w huleńskiej transkrypcji, a jednak jak bardzo bliską memu sercu...

Juliusz Leo

JERZY WOSZCZYNIN

Poszukiwacz bursztynu

*Nie wśród qwiad, nie od słońca,
ani z Parnasu wyżyn —
W prochu pustyni duszącym,
wśród mogił i wśród krzyżów,*

*boso, w łachmanie przegniłym,
z obnażoną głową,
poszukiwacz bursztynu
szukałem bursztynu Słowa.*

*W szlamie, w portowym brudzie,
w zdeptanej drogi pyle,
szukałem między ludźmi
i tam, gdzie ludzi nie było.*

*Jak człowiek opętany,
jako zbłąkany pielgrzym,
ścigałem fatamorgane,
ścigałem lotną Poezję.*

*Zrodził ją ból ogromny,
zrodziło ją ludzkie Ghetto,
więc zawodów niepomny,
— domorosty poeta —*

*zamiast klejnotów — kasztanów —
zbieram wśród tego odmetu
pamiątki falą przygnane
potrzaskanego okrętu.*

Jerzy Woszczyński

JAK
SKUTECZNIE
pomóc rodzinie w Polsce
NAJLEPIEJ
doradzi
nasz nowy cennik Nr. 118

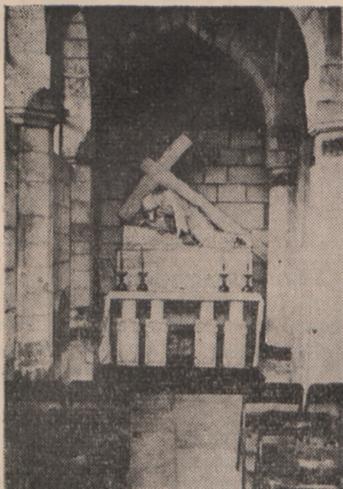
FREGATA (Merchants) Ltd.
122, Wardour Str., London, W.1
Jedna z najlepiej
opłacających się paczek to

NYLONY w najlepszym gatunku, najmłodniejsze:
Nocturne gazowe
2 p. lotniczo — 18/6
Luxury Frameheel z ozdobną piętą, 2 pary lotniczo — 21/-
Luxury Micromesh siatkowe, nie puszczające oczek, 2 p. lotn. 22/-
Luxury Firefly, 2 pary, polec. — 24/-
t a k ś e

PIEPRZ czarny gruboziarnisty 1 funt 22/-
2 funty — 40/-
z przesyłką. Obecna wartość w Polsce do 500 zł za funt.

POLSKIE STACJE DROGI KRZYŻOWEJ W JERUZOLIMIE

Korespondencja własna "Gazety Niedzielnej"



Wnętrze kaplicy III Stacji po rekonstrukcji.

Inicjatywa ufundowania w Jeruzolimie trwałej pamiątki, w podzięce Panu Bogu za Jego opiekę nad narodem polskim podczas wojny, została ostatnio uwieńczona pomyslnym skutkiem. Wydzierżawiona w tym celu od Ormian katolików na okres 25 lat z prawem przedłużania na dalsze czasokresy, mocno zniszczona kaplica III-ej st. Drogi Krzyżowej, została gruntownie przebudowana, a na pamiątkowym miejscu spotkania się P. Jezusa z Matką Najświętszą, wzniesiono nową kaplicę IV-tej stacji Drogi Krzyżowej, wykorzystując na to gruntownie przebudowaną salkę w starym budynku Patriarchatu Ormiańskiego - Katolickiego ze zeszłego stulecia. Wydzierżawiono ją również na 25 lat z prawem przedłużania na dalsze czasokresy.

Rozpoczęte prace rekonstrukcyjne przed 3-ma laty przez ks. kan. St. Pietruszkę, po długich koniecznych przygotowaniach i po usunięciu wielu przeszkód, doprowadzono ostatnio do takiego stanu, że obie stacje zostały oddane w Wielki Piątek ub.r. do publicznego użytku, a w dniu 3-go Maja z okazji święta Narodowego zostało odpra-

Ostatnie na terenie Anglii! MEDALIKI MATKI BOSNIEJ OSTROBRAMSKIEJ Z ŁAŃCUSZKAMI
 Okrągłe, 15 mm. średn., łańcuszki 16 - 20 inch.
 Srebrne: medalik 7/- łańcuszek 10/-
 Złoczone: medalik 9/-, łańcuszek 15/-
 plus 8 i pół pensa na przesyłkę listem poleconym za nadesłaniem P. O. z podaniem długości łańcuszka.
J. MROWIŃSKI,
 8, Alma Terrace, Allen Str., London, W. 8.

wione przez J.E. Ks. Biskupa Gelata w kaplicy III-stacji Drogi Krzyżowej. uroczyste labozerstwo za Polskę w obecności przedstawicieli władz duchownych wszystkich obrządków i cywilnych z gubernatorem Jeruzolimy na czele, oraz przy licznych udziałach zaproszonych gości wszystkich narodowości i miejscowej Polonii.

Nowoobudowane stacje swoją architekturą, ornamentacjami i wewnętrznym urządzeniem wyróżniają się spośród innych. Setki Arabów chrześcijan oraz pielgrzymi, różnych narodowości, zwiędzający wśród innych sanktuariów również i nasze stacje — nazwali je najpiękniejszymi stacjami Drogi Krzyżowej, a znakomity inż. architekt, budowniczy „Gethsemani”, Taboru”, Sanktu-

Trudności zostały umiejętnie rozwiązane, albowiem ks. kan. Pietruszka nie ograniczył się tylko do przeprowadzenia konkursu architektonicznego w 1946 r., w którym wzięli udział najznakomitsi inżynierowie architektki, budowniczości i malarze polscy, przebywający na środkowym Wschodzie jak: inż. Stefan Makowski, inż. arch. Kazimierz Osiniński, art. malarz prof. Władysław Krzyżanowski, arch. budow. Aleksander Rutkowski oraz arch. Adam Dubanowicz, inż. arch. Stanisław Trela, inż. arch. Stefan Pietrzak, inż. arch. art. rzeźb. Tadeusz Adam Zieliński, lecz wykorzystują pomoc fachową zaofiarowaną przez najlepszych inżynierów architektów oraz artystów malarzy i rzeźbiarzy innych narodowości na środkowym

Wschodzie, wśród których zasługują na uwagę następujące osoby: inż. arch. prof. Bariuzzi, inż. Hamilton dyr. państwowego zakładu zabytków Selm Abousuan, inż. arch. O. Henryk Senez, Jezuita, inż. arch. O. Mamert Vionne, asumpcjonista, inż. arch. Jalil Ijha, inż. arch. Simon Chamich, inż. arch. o. N. Steve, dominikanin, inż. arch. N. Nassar, art. malarz Emil Ritz i wielu innych.

Ponadto służyli swoją pomocą i fachowymi wskazówkami księża profesorowie ze Szkoły Biblijnej i Archeologicznej oo. dominikanów z o. N. Abel'em na czele, księża profesorowie Instytutu Biblijnego oo. franczkanów z o. S. Saler i o. N. Bagati na czele, oraz księża profesorowie Papieskiego Instytutu Biblijnego oo. jezuitów z o. Ferdynandem i o. H. Senes na czele.

Prace architektoniczne zostały wykonane pod bezpośrednim kierownictwem inż. arch. A. Aboussouan'a, najlepszego z fachowców w budownictwie palestyńskich, prace zaś ornamentacyjne pod fachowym kierunkiem prof. inż. arch. A. Bariuzzi.

S.P.

Dokończenie i konserwacja architektoniczna dwóch polskich stacji Drogi Krzyżowej w Jeruzolimie wymagają dalszych środków finansowych, które przekraczają znacznie możliwości bardzo nielicznej obecnie kolonii polskiej na Ziemi Świętej.

Ofiary na ten cel można przesyłać pod adresem: Ks. Kan. S. Pietruszka, Old City Hospice, Old City, Jerusalem, Jordan, via Beyrouth - Amman.



W latach 1948-1952 Polacy wybudowali nową kaplicę IV stacji Drogi Krzyżowej w Jeruzolimie. W każdy piątek zatrzymuje się przed nią procesja Drogi Krzyżowej odprawiana przez ojców franciszkanów.

artium na „Górze 8-miu Błogosławieństw” i wielu innych, zapoznawszy się gruntownie z zamierzonymi planami rekonstrukcyjnymi obu stacji, zaofiarował swoją fachową pomoc przy wykonywaniu robót, oraz nazwał III stację klejnotem architektury arabskiej.

Wszyscy znawcy starożytnej sztuki chrześcijańskiej, architektury orientalnej i archeologii biblijnej przyznali, że wykonane prace wymagały wielkiej umiejętności, czy to z okazji przeprowadzonej rekonstrukcji, zabytkowej budowli z końca XVI-go wieku III-ciej stacji Drogi Krzyżowej, czy też z okazji dokonanych adaptacji w starym budynku Patriarchatu Ormiańskiego - Katolickiego z ubiegłego stulecia, wybudowanym na fundamentach starożytnej kaplicy, na miejscu spotkania się P. Jezusa z Matką Najświętszą w czasie Drogi Krzyżowej.

J. A. TESLAR

Dobra Nowina

Ogorzała twarz słońca nad zbudzonym polem przed się płachtę mgieł niesie o zarannej zorzy — Dokąd to, gospodarzu, idziecie tak rano? — Pan wstał z martwych! Czas wielki zasiać [słowo Boże!

Już na sukniach zielonych słońcem szyte płaszcze lśnią od kwiecia. — Dla kogóż tak się dziś stroicie miłe drzewa? — Toż wiosnę witamy, nasz bracie! idzie Dobra Nowina! Za nią — Nowe Życie!

Cóż wy srebrem swych dzwonek głosicie, [ptaszkiwie, gdyście do nas na północ z za mórz przybieżeli? — Jak-to? nie wiesz? rocznica dziś stworzenia [świata! dzień radosnej dla ziemi Wiecznej Ewangelii!...

Wielkanoc, 1953.

J. A. Teslar



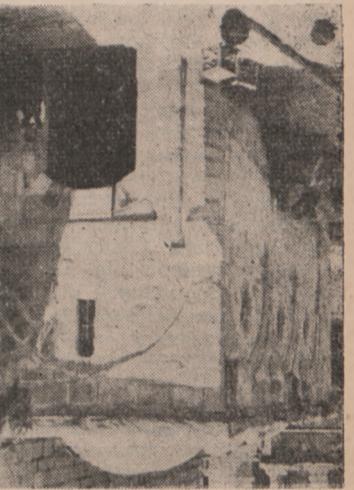
Kaplica III Stacji po przebudowie.



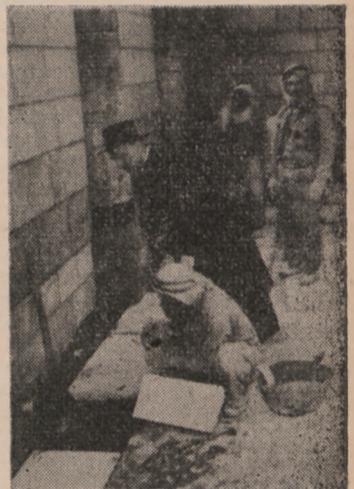
Projekt statuy w oltarzu głównym IV stacji Drogi Krzyżowej — rzeźba Tadeusza Zielińskiego.



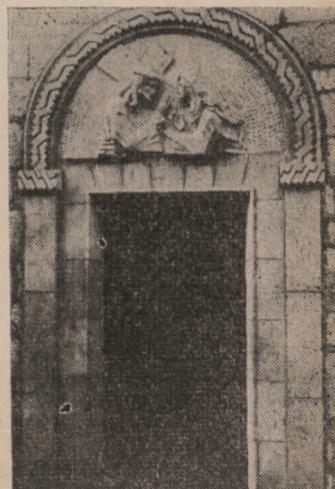
Wejście do kaplicy IV Stacji Nad portalem rzeźba w kamieniu projektu Tadeusza Zielińskiego.



Kaplica III Stacji przed przebudową.



Kaplica III Stacji w czasie przebudowy. Ks. kan. S. Pietruszka nadzoruje prace wykonywane przez robotników arabskich.



Wejście do kaplicy IV Stacji w czasie przebudowy.



OSTATNI HARNAS



JÓZEF ZYCH

— Bow że sie tu, Józus, i nika nie odchodz od chatupy, bo ja juz ide. Ale wis co, jak byk tak przypodkiem nie wrócił sie jesce na polednie, to nalej geniom do zlobka wody i cisnij tego zielska, co pod jatym lezy na kupce — pedziol Kuba Zmudzia, co go to przezywali „Giuchuniem”.

Stary bel juz bardzo, i na pole od downa nie chodzil nic robic, ale przy chatupie to sie zawsze zdot. To gonsiant na wiosne przpilnowol; to plótno polol, jak sie latem bielilo na kamińcu; to dzieci bawil, kolysoł, i zawiase na chalupe dol pozor. Swojego to po prowadzie juz nie ni miol. Bo od casu jak mu ino Hanka umarla, grunt ozdol dzieciem. a som ostol na laskawym chlebie przy Wojtkowi. Trzimiol sie jesce krzepko. I choć go rok prziginaly coroz to barzej do ziemi, nikogo by sie jesce nie mvsloł boć — zeby nie ta krzypota. Chycila ci go jesce lońskiej jesieni i ani rus nie chce go popuscic, ino go dusi jak niesycnie. He, he! Nik mu juz fte zycio nie sondzil, i som mysloł, że sie juz wykopyrtnie, ale jakosik fala Bogu obstol. Ale od tego casu tako przichodzila na niego filami slabosc, że jaz sie zabacowol. Tropil sie bardzo som swojom slabosciom, bo jakze to: odyś ztela tak, nawet sie na hole nie popatrzył przed smierzcziom, ani nie pogwarzył śnim!?! A dyć przecie hań, na tyk siwyk wirchak, ostawil swojom miodosc. Hań przecie sie zamklo jego zycie.

Dlugo cekol na te file, ale sie jij docekol. Dziasko sycka posil do Kotelnicy, do rychlika; i Oleška zabrala że sobom dzieci — nawet krowe zabrali, bo nie myslili przichodzic na polednie — a lego ostawil samego. Kie tak, to trza mi isć dzislok na Cyrlicie — pomyšloł se. Zawolol Rozulone chłopcyso, by przpilnowol chatupy, a som poseł, ka sie juz okwarowol.

Zrazu mu sie slo niesporo. bo i chodnik bel przlyk i nogi go juz nie kcialy sluchac. — Zeby tak za Groń ino chycil, to se przy smyntorzu na brzyzeczku od dychne. Kie sie na tyn „Groń” wygramolil i co nieco odsapnon, sjon z głowy kapelus i zacon mowil „Wiecne odpoczywanie” za tyk, co se tam zaroz za murem spali.

— Dobrze wom sie tu spi, do brze — pedziol, kie sie juz pomodlił. Fnetki tu moze przide i jo, ale pude se hań, ku Hanusi.

Zacon sie ozpatrowac po smentorzu, chodzic oczami od grobu do grobu — swoik sukol. A miol ik tu spory kierdelek, bo oprócz Hanki i ojcow tu swoik miol piencioro dzieci, wnucokow cosik ze sledmioro, i tyk z trzeciego pokolenia troje. Sycka odešil juz na zawse od niego, ale za zadnym šnik tak nie banowol. Jako za swojom Hanusiom. Zapatrzil sie na te Hanusine lzbe w ogródceku i zacon se przybacowac te casy, kie jesce bela miodo, pikno jak ze kwloteczki, co se rosom teroz nad niom, i zrobil sie mu taki strasny zol, że tak zmarnowol te jij miodosc. Teroz, kie juz som stol nad dolem, uwi dzioł, co miol i co juz na zawse stracil. Stanyna mu w oczak tak samo, jako bela fte kie sie po-

brali: pikno, cicho, robotno. A te jij warkoce, co sie za niom wlocył po ziemi. A te jij oczka przisciepnne... Jak pozrała nimi po cteku, to joz mróz sed po kosiak. Ale jak zaczyna obliapiac, boskać, to duse zycwem z cteka wydzierala. Jak on jom fte strasnie rod widziol, ale czy moze fto kozac wodzie, by sla z dolu do gory? Abo slonecku, by slo naopak? Cy on móg zrobic inaczej? Cy miol sie dusic i gnit we wsi jak insi, kie hań, na wirchak bela sama šleboda? Od dziecka przecie mysloł o nij. Nocami mu sie šniła. To tyz, kie wiesnom zadul holny, nie wytrziol i posed. Bocy se sycko dobre, co mu Hanka odrzeka, kie jij powiedziol, że jom musi ostawic samom, ze som musi isć hań, do nik. Nie plakala, nie wydziwiata, ino mu pedziata lichusko: — Kces isć, to idź. Widze ja dobre, co cie ciongnie, i ka cie ciongnie, ale jo ci nie bronie; idź. Ale pamintoj wrócić sie na zime do domu, bo cie tu bee cosik cekac.

Nie w glowie mu beio fte, „co na niego miało cekac”, ale kie sie wrócił na zime do domu, to ledwie go Hanka dozrała, skoczyła do niego: — Kubuś mój przisiel! Mój harnaś sie wrócił! A kie sie nim naciesyła, naobla- piala sie go, pedziata mu ze smiechem: — Co ty teroz bees robił, bo jo mom nowego gazde, widzis go, jak se lezy w kolyse? Podnieś-ze go pod sosromb, powinuj mu: nieg rośnie, nieg mu sie zycie scynić, i zeby przy nim nik nie plakol na swoje zycie jak... ozplakala sie.

Nie Hance na to nie rzyk, bo co miol rzeknonć, ale maluškio Wojtusia podniols pod sosromb, powinowol mu piknie, ładnie, a po Godak mu sprawil pikne krzycziny, z muzykom go do kościolka poprowadzil. Bez zime go bawil i ciesyl sie nim, ale na wiosne posed od niego.

Kie sie wrócił na cwartom zime, to juz ojcow nie zastol, mór ik zabrol. Co fte narodu wymar- lo, to Boze ratuj. Pól wsi poslo i jego dwoje dzieci tyz poslo, ino sie Wojtuś ostol. Bocy on te rok i dobre: bo w jednym woda pozbierala sycko z pola, w drugim grad wybil, ale nogorsy to był tyn trzeci — posucha przisla okropno, i sycko spoliło, co ino roslo. Głód chycil taki, że nie beio rady. Ludzie zrazu jedli warmuz, pote pokrzywy i różnom trawe, jaz zacyni puchononć i umirac. Maloz to byckow orawskik prziwioł fte nocami do wsi? Maloz to dutkowsk odzol ludziskom, zeby se kupil zycie? Nic nie pomoglo, bo bycki casem odnachodzili zianydry, a za dutki u nikogos nie nie kupil.

Na dziewiontom zime juz sie nie wrócił. „Gadziogłowska”, jezo towarzisł telo ino pedziol Hance, że Kube potrzestelanego zabral hajduky i pognall go, do Sonca — sondzil go tam majom.

Staneny mu teroz w oczak: i tyn cały sond i Hanka. Ostawila sycko doma na Boskiej Opiece, a sama posla na nogak do Sonca. Zrazu jij nie kciali pusćic do tyj lzby ka go sondzil, ale pote- tiala, potela molestowala, że jom pusćili. Roz ino fte pozrała

na niego, a on juz nie cul kajda- now i nie widziol šubiny. Jak ona sie prasla krzizem na ziem — kie uslyšala, że majom go wiesac — i na całom izbe krzica- la: — Za coz wy go kcecie wiesac? Zabil kogo? Jak wzion nieroz temu, co miol syckego za duzo, to nie lo siebie brot — biednym to ozdol. Mocie go wiesac i i mnie wiosicje razem šnim! Padom wom: nie tykojcie sie go! Inacej zycie se odbierem, ale fte bee źle swami! Nocami beam chodzila do wos, mencyla wos beam tak, jaz wos na smierźc zamence! To tyz jesce roz wos pytom: puscie go!

Umiata go bronit Hanusia, oj umiata, ale go tyz i wybronila. Bo o tym syckim pisali kasik do cysorza; opisali mu dokumentnie sycko co i jak, no i cysorz podarowol mu zycie, ale mu kozol sie dzieć štyrdziesć rokow w harešcie, w Olomuńcu. Kie sie juz wrócił z „Olomuńca” do domu — siedziol ino trzi dwašcia rokow, reste mu cysorz podarowol — o- jez lezol na ziemi, choć jak mi pote padali, jedyn ino „Zubek” móg mu dac rady. Tak prasno- neg go trzi razy i pytom sie: — Fto sie jesce kce ze mnom sprobować? Moze sie mi fto przeciwi? To podź! Ale nik juz nie wstol ino mi „Zubek” pedziol: — Widze, żeš chłop nieplony, i copka nasa bee ci fajnie pasowac, ale musis do nij piorecko dostac. Wisi hań, na smyrecku, dostoiŹe go.

Spory bel ten smyrecki, bo miol chyba z półcwortyj siongi, ale jak ci nie skoce w gore, ciak romanickom, i juz piórkio razem z wirsyckiem na ziemi.

— Witojcie syckie!
— Pote siednon na kempie i zacon se przybacowac to sycko, co na nik przelył, co na nik robil, i jakie na nik beio jego zycie.

— Hań, w Krytyj, zaceno sie — zacon godac som do siebie. — Bocem jak dziš, siedzieli przy watrze, kieg do nik przised, „Boh wom pomahaj” pedzioliek i spy- tolek sie, cy moze i jo siednonć se przy tyj watrze. — Kces sionś przy watrze, to sie ta spytoj ftořego, moze ci ustompi — pedziol mi „Zubek”, co bacowol fte harnasiom.

Dlugo wybril miendzy nimi, alek se wybroł jednego. Nie bel co prowda wysoki, ale zato bel dobrze w sobie, przysadzisty, a nazywali go gnotkiem. Sturkno- nek go w plecy toporzyskiem i pedzioliek mu jedno: — Podź!

Wstol zaroz od watry i zacyni my sie pasowac. Padom wom, paciorza nie mineno, a „Gnotek” juz lezol na ziemi, choć jak mi pote padali, jedyn ino „Zubek” móg mu dac rady. Tak prasno- neg go trzi razy i pytom sie: — Fto sie jesce kce ze mnom sprobować? Moze sie mi fto przeciwi? To podź! Ale nik juz nie wstol ino mi „Zubek” pedziol: — Widze, żeš chłop nieplony, i copka nasa bee ci fajnie pasowac, ale musis do nij piorecko dostac. Wisi hań, na smyrecku, dostoiŹe go.

Spory bel ten smyrecki, bo miol chyba z półcwortyj siongi, ale jak ci nie skoce w gore, ciak romanickom, i juz piórkio razem z wirsyckiem na ziemi.

— Fajnie — pedziol „Zubek” — ale jedno jesce musis zrobic, jak kces chodzil snami. Ftoř ci sie turnia najlepiej widzi? — Syckie pikne, — pedzioliek. Myšle ze chyba Końcysto. — To pódzies na tom „Kon- cystom” i mos na nij stać trzi dni i trzi noy. Nie wolno ci nic ani ješć, ani pić, siednonć ci tyz nie wolno, ani rusac, ino se mos stać prosciutko i patrzec tam, skond slonko wychodzi. Jak wy- stois tak, jak ci padom, to mo- zes se posukac nasyj harnasio- wskiej copki. Lezy kasik w Zbój- nickik Oknak, i zaroz przichodz do nos.

Hej, cienzko mnie próbowali trzeci raz, cienzko. Na trzeciom noc widziata mi sie, ze nie wy- stoje. Mglošci mnie brały i w glowie mi sie krencilo, a nogi to tak dygotaly podemnom, zek mysloł ze sie juz zwale. Alek wy- ktrymowol i na cworty dziš, jak ino slonko wstalo posedek sukac copki.

Wiedzioliek dobre, ka som te „Zbójnickie Okna”, bo jak jesce byleł mały, to niebosyck dziadek nieroz o nik opowiadol — tyz bel harnasiem — ale dostać sie do nig? Z góry krzesanica, z dolu krzesanica, ani sie za co ryncami chycic — wsendy zwoje i goło skała. Ale jo sie do „Okien” do- stol, copkek naloz i posedek sukac swojek „bandy”.

Pod Pysnom byli i piekli ba- rana nad watrom. Kieg podsed do nig, wstali sycka od watry. a „Zubek” tak pado: — Teroz-ės juz nas! Aleš, pa- dom ci, twardy chłop, kieš sie

go nogi zamiesly, a dopiero kie spod šnig, wracalo sie w doliny — do domu. Kcialo sie ješć, to sie slo na Orawę, brało sie byc- ka wolorzom. Kcialo sie pić, to sie slo na Luptów, albo na Ora- we i tam po karcmak sie pilo, toncylo, ze nieroz ciek nóg juz nie cul. Nowincyj my chodzili do Wagu i nieroz po trzi dni sie- dzieli w karcmie. Przislo, że przy- chodzimy w noy, to nie burzyli my do okna, ino se zašpiwali: „W Wagu kacmorecka, pikno jak

— Kieš mi dani pikne pió- recko — padom — ale jo naloz jesce pikniejse — giuchuniowe. Za to, zek giuchuniowe piórecko naloz, kce sie nazywac Giuchu- niem.

Tak budzili my kacmorkę. Otwierala nom zaroz, stawiala palinke na stole, a jak „Wronie- oko” zacon grac na genšickak toncyła snami do biolęgo dnia. Radzimy jom widzieli bo to i o- brotno bela, i za trunek niedrogo brala, i od casu do casu — pod pierzyne pusćila. Ej, odpaciła sie ona nom, odpaciła, za sycko. Roz, kie my przisli do nij w no- cy, dala o nos znać hajdukom. Przisli i obstawili całom karcme. Kie wleził do šrodka, skocylšmy sycka na równe nogi i mielišmy juz prac co sie wlezie, kie „Zu- bek” krziknon:

— Chłopy, stoć! — a do te- go starszego co hajdukowil prz- prowadzil pado: — Zešcie przisli po nos, to wimy i pódziemy swami. Ale przedtym kemy se jesce potoncyć z kacmoreckom. Docie nom potoncyć, to dobbe. A nie docie nom potoncyć, to bee beda — bitke beecie mieć. To co kcecie?

Rodzi nie rodzi zgodzili sie hajduky na tyn toniec, ino zeby bel nie za bardzo dlugi, bo oni „Siuhaju, siuhaju, bee z tobie zbójnik. He, kiedy se wyrombies do Luptowa chodnik. Napij ze sie snami dobrej gorzolecki. He, nie bedom sie šlizgać na prycki nozecki. Popijaj, popijaj, Lewoće omijaj. He, Lewoće omies, nie bój sie nie zginies. Cy se mos siuhaju ostrom sielerkeć. He, zabij ze niom, zabij, swojom frejrecke. Zetni je z jej główke, odromb ze jij ryncie. He, to nie bees wiedzioł, jak sie kono w mynce. Baco mój, baco mój, prowadz ze nos na zbój. Choć tam smierztka ceko to ty sie nie nic nie bój.”

— Padoš roz do Kiezmarku, na jarmark bok kciol kupic jakie- go zycio. Widze, spyrki lezom na kupie, a polkie, to padom wom hrube jak pierzyny. Pod- chodze ja ku luptokowi, i pytom sie: — Przedajecie te spyrki? — Przedaje. Kces kupic? — Jakbyšcie kcieli nie drogo, mozebyk poteł wzion. — Daj pół talara i wybiroj — pado ten luptek. — Jo byk dol i trzi talary, ale byk kciol wybrać z tela, co som kce. — To dawoj te trzi talary i wybiroj. — Przi šwiadkak padocie? — pytom sie. — Przy šwiadkach ci padom: daj trzi talary i wybiroj, co kces. Ale brać ci ino telo wolno, co pod pazuchom uniesies.

Na tok ino cekol — pado, „Gno- tek”. Bo to wicie, ten luptok broł ze sobom babe, by mu pil- nowala spyrek. Siedziata se i teroz przy nik, a ze bela jesce nie staro, i nie brzydki, pomyšlolek se zaroz: cekojze luptocku, juz ja cie dzislok tak wyrzykuje, ze se dziadka z babkom przybocys. Daje mu trzi talary, i biere pirsy lepsy poteł, pote podchodze z tym polciem ku jego babe, owi- volai: — Nie sluchoj, Kubus, tonc do kuńca! — Minena jedna godzina, minena drugo, a my tańcymy. Kacmor-

— Nie sluchoj, Kubus, tonc do kuńca! — Minena jedna godzina, minena drugo, a my tańcymy. Kacmor-

— Nie kcecie, to ni! Nie kce jo wos ciongnonć na powrozku do sluchanicy, ale jo kce wie- dzieć jedno, i to mi musicje po- dzieć. To nie ciskojcie sie, ale mi na jedno powiedzcie: co trza mieć, kie sie ka daleko jedzie? — powidzmy, ze do Hameryki? — To wy jesce nie wicie, jemo- sciu? A dyć tam jak sie jedzie, to trza mieć dutki i pas. — A tam, ka sie teroz wybiero- cie? — nalego plebon. — Tam? Sami mi tam powie- dzom, kie do nik przide, co trza mieć.

— To jo wom powim, Jakubie. Tam trza mieć ze sobom Sakra- ment. Potok tu jest miendzy wami, zebym wom na droge nie brakio. Myšlicie, ze se beam wstydzil, jak sie mie spyto Nie- bieski Gazda, cemuk wos pusćil takiego golego? Powim mu tak: Panie Boze! Zmudzia bel fajny chłop i dobry chłop, ino bel bardzo bojašliwy. Nie kciol sie przinać, kie bel do spowiedzi i co robil bez cale zycie, a na przyczynec jesce mnie sklonć kciol, zek mu dawol zbawienie do garzci.

Nic na to Zmudzia nie rzek, ino dysol strasnie i mysloł. Kie se juz dobre umysloł, wstol z ławy i podsed do plebana.

— Nie myšlicie se, kieszie ple- bonie, ze jo sie cego boje. Nig- dyk sie niego nie boł za zycio to sie i teroz nie kce boć, choć nie pieklem strasyce. Ale ze wos rowidze i nie kciolbyk wom zrobic zodnej przikrošci — jak padocie, zebyscie musieli ocami za mnie šwicic — to wom pa- dom: pytojcie sie mie juz, co sami zwynie kcecie.

Kozol mu plebon sionś przl nim na stoleku, a som wycion- gnon stule z kiesionki, zalozył jom na syje, i zacyna sie orka. Ej, targol ci plebon tyn ugor, targol. Siedemšiesion rokow juz zarostol, jak mu sie zwynie podobalo. To tyz broł skiba po skibie, dornia po dorni, wywra- col, krusyl, jaz calo rola bela pikno. A kie juz ta rola bela cysto, ciskol na niom Boskie Mi- losierdzie i darowanie syckego docesnego i wiecnego. Nie dar- mo bel štyrdziesć rokow plebo- nem miendzy temi ludźmi. Po- znoł juz dobre te twarde duse, i

— Nie kcecie, to ni! Nie kce jo wos ciongnonć na powrozku do sluchanicy, ale jo kce wie- dzieć jedno, i to mi musicje po- dzieć. To nie ciskojcie sie, ale mi na jedno powiedzcie: co trza mieć, kie sie ka daleko jedzie? — powidzmy, ze do Hameryki? — To wy jesce nie wicie, jemo- sciu? A dyć tam jak sie jedzie, to trza mieć dutki i pas. — A tam, ka sie teroz wybiero- cie? — nalego plebon. — Tam? Sami mi tam powie- dzom, kie do nik przide, co trza mieć.

— To jo wom powim, Jakubie. Tam trza mieć ze sobom Sakra- ment. Potok tu jest miendzy wami, zebym wom na droge nie brakio. Myšlicie, ze se beam wstydzil, jak sie mie spyto Nie- bieski Gazda, cemuk wos pusćil takiego golego? Powim mu tak: Panie Boze! Zmudzia bel fajny chłop i dobry chłop, ino bel bardzo bojašliwy. Nie kciol sie przinać, kie bel do spowiedzi i co robil bez cale zycie, a na przyczynec jesce mnie sklonć kciol, zek mu dawol zbawienie do garzci.

Nic na to Zmudzia nie rzek, ino dysol strasnie i mysloł. Kie se juz dobre umysloł, wstol z ławy i podsed do plebana.

— Nie myšlicie se, kieszie ple- bonie, ze jo sie cego boje. Nig- dyk sie niego nie boł za zycio to sie i teroz nie kce boć, choć nie pieklem strasyce. Ale ze wos rowidze i nie kciolbyk wom zrobic zodnej przikrošci — jak padocie, zebyscie musieli ocami za mnie šwicic — to wom pa- dom: pytojcie sie mie juz, co sami zwynie kcecie.

— Nie kcecie, to ni! Nie kce jo wos ciongnonć na powrozku do sluchanicy, ale jo kce wie- dzieć jedno, i to mi musicje po- dzieć. To nie ciskojcie sie, ale mi na jedno powiedzcie: co trza mieć, kie sie ka daleko jedzie? — powidzmy, ze do Hameryki? — To wy jesce nie wicie, jemo- sciu? A dyć tam jak sie jedzie, to trza mieć dutki i pas. — A tam, ka sie teroz wybiero- cie? — nalego plebon. — Tam? Sami mi tam powie- dzom, kie do nik przide, co trza mieć.

— To jo wom powim, Jakubie. Tam trza mieć ze sobom Sakra- ment. Potok tu jest miendzy wami, zebym wom na droge nie brakio. Myšlicie, ze se beam wstydzil, jak sie mie spyto Nie- bieski Gazda, cemuk wos pusćil takiego golego? Powim mu tak: Panie Boze! Zmudzia bel fajny chłop i dobry chłop, ino bel bardzo bojašliwy. Nie kciol sie przinać, kie bel do spowiedzi i co robil bez cale zycie, a na przyczynec jesce mnie sklonć kciol, zek mu dawol zbawienie do garzci.

Nic na to Zmudzia nie rzek, ino dysol strasnie i mysloł. Kie se juz dobre umysloł, wstol z ławy i podsed do plebana.

— Nie myšlicie se, kieszie ple- bonie, ze jo sie cego boje. Nig- dyk sie niego nie boł za zycio to sie i teroz nie kce boć, choć nie pieklem strasyce. Ale ze wos rowidze i nie kciolbyk wom zrobic zodnej przikrošci — jak padocie, zebyscie musieli ocami za mnie šwicic — to wom pa- dom: pytojcie sie mie juz, co sami zwynie kcecie.

Kozol mu plebon sionś przl nim na stoleku, a som wycion- gnon stule z kiesionki, zalozył jom na syje, i zacyna sie orka. Ej, targol ci plebon tyn ugor, targol. Siedemšiesion rokow juz zarostol, jak mu sie zwynie podobalo. To tyz broł skiba po skibie, dornia po dorni, wywra- col, krusyl, jaz calo rola bela pikno. A kie juz ta rola bela cysto, ciskol na niom Boskie Mi- losierdzie i darowanie syckego docesnego i wiecnego. Nie dar- mo bel štyrdziesć rokow plebo- nem miendzy temi ludźmi. Po- znoł juz dobre te twarde duse, i

— Nie kcecie, to ni! Nie kce jo wos ciongnonć na powrozku do sluchanicy, ale jo kce wie- dzieć jedno, i to mi musicje po- dzieć. To nie ciskojcie sie, ale mi na jedno powiedzcie: co trza mieć, kie sie ka daleko jedzie? — powidzmy, ze do Hameryki? — To wy jesce nie wicie, jemo- sciu? A dyć tam jak sie jedzie, to trza mieć dutki i pas. — A tam, ka sie teroz wybiero- cie? — nalego plebon. — Tam? Sami mi tam powie- dzom, kie do nik przide, co trza mieć.

— To jo wom powim, Jakubie. Tam trza mieć ze sobom Sakra- ment. Potok tu jest miendzy wami, zebym wom na droge nie brakio. Myšlicie, ze se beam wstydzil, jak sie mie spyto Nie- bieski Gazda, cemuk wos pusćil takiego golego? Powim mu tak: Panie Boze! Zmudzia bel fajny chłop i dobry chłop, ino bel bardzo bojašliwy. Nie kciol sie przinać, kie bel do spowiedzi i co robil bez cale zycie, a na przyczynec jesce mnie sklonć kciol, zek mu dawol zbawienie do garzci.

Nic na to Zmudzia nie rzek, ino dysol strasnie i mysloł. Kie se juz dobre umysloł, wstol z ławy i podsed do plebana.

— Nie myšlicie se, kieszie ple- bonie, ze jo sie cego boje. Nig- dyk sie niego nie boł za zycio to sie i teroz nie kce boć, choć nie pieklem strasyce. Ale ze wos rowidze i nie kciolbyk wom zrobic zodnej przikrošci — jak padocie, zebyscie musieli ocami za mnie šwicic — to wom pa- dom: pytojcie sie mie juz, co sami zwynie kcecie.

— Nie kcecie, to ni! Nie kce jo wos ciongnonć na powrozku do sluchanicy, ale jo kce wie- dzieć jedno, i to mi musicje po- dzieć. To nie ciskojcie sie, ale mi na jedno powiedzcie: co trza mieć, kie sie ka daleko jedzie? — powidzmy, ze do Hameryki? — To wy jesce nie wicie, jemo- sciu? A dyć tam jak sie jedzie, to trza mieć dutki i pas. — A tam, ka sie teroz wybiero- cie? — nalego plebon. — Tam? Sami mi tam powie- dzom, kie do nik przide, co trza mieć.

— To jo wom powim, Jakubie. Tam trza mieć ze sobom Sakra- ment. Potok tu jest miendzy wami, zebym wom na droge nie brakio. Myšlicie, ze se beam wstydzil, jak sie mie spyto Nie- bieski Gazda, cemuk wos pusćil takiego golego? Powim mu tak: Panie Boze! Zmudzia bel fajny chłop i dobry chłop, ino bel bardzo bojašliwy. Nie kciol sie przinać, kie bel do spowiedzi i co robil bez cale zycie, a na przyczynec jesce mnie sklonć kciol, zek mu dawol zbawienie do garzci.

Nic na to Zmudzia nie rzek, ino dysol strasnie i mysloł. Kie se juz dobre umysloł, wstol z ławy i podsed do plebana.

— Nie myšlicie se, kieszie ple- bonie, ze jo sie cego boje. Nig- dyk sie niego nie boł za zycio to sie i teroz nie kce boć, choć nie pieklem strasyce. Ale ze wos rowidze i nie kciolbyk wom zrobic zodnej przikrošci — jak padocie, zebyscie musieli ocami za mnie šwicic — to wom pa- dom: pytojcie sie mie juz, co sami zwynie kcecie.

Kozol mu plebon sionś przl nim na stoleku, a som wycion- gnon stule z kiesionki, zalozył jom na syje, i zacyna sie orka. Ej, targol ci plebon tyn ugor, targol. Siedemšiesion rokow juz zarostol, jak mu sie zwynie podobalo. To tyz broł skiba po skibie, dornia po dorni, wywra- col, krusyl, jaz calo rola bela pikno. A kie juz ta rola bela cysto, ciskol na niom Boskie Mi- losierdzie i darowanie syckego docesnego i wiecnego. Nie dar- mo bel štyrdziesć rokow plebo- nem miendzy temi ludźmi. Po- znoł juz dobre te twarde duse, i

— Nie kcecie, to ni! Nie kce jo wos ciongnonć na powrozku do sluchanicy, ale jo kce wie- dzieć jedno, i to mi musicje po- dzieć. To nie ciskojcie sie, ale mi na jedno powiedzcie: co trza mieć, kie sie ka daleko jedzie? — powidzmy, ze do Hameryki? — To wy jesce nie wicie, jemo- sciu? A dyć tam jak sie jedzie, to trza mieć dutki i pas. — A tam, ka sie teroz wybiero- cie? — nalego plebon. — Tam? Sami mi tam powie- dzom, kie do nik przide, co trza mieć.

— To jo wom powim, Jakubie. Tam trza mieć ze sobom Sakra- ment. Potok tu jest miendzy wami, zebym wom na droge nie brakio. Myšlicie, ze se beam wstydzil, jak sie mie spyto Nie- bieski Gazda, cemuk wos pusćil takiego golego? Powim mu tak: Panie Boze! Zmudzia bel fajny chłop i dobry chłop, ino bel bardzo bojašliwy. Nie kciol sie przinać, kie bel do spowiedzi i co robil bez cale zycie, a na przyczynec jesce mnie sklonć kciol, zek mu dawol zbawienie do garzci.

Nic na to Zmudzia nie rzek, ino dysol strasnie i mysloł. Kie se juz dobre umysloł, wstol z ławy i podsed do plebana.

— Nie myšlicie se, kieszie ple- bonie, ze jo sie cego boje. Nig- dyk sie niego nie boł za zycio to sie i teroz nie kce boć, choć nie pieklem strasyce. Ale ze wos rowidze i nie kciolbyk wom zrobic zodnej przikrošci — jak padocie, zebyscie musieli ocami za mnie šwicic — to wom pa- dom: pytojcie sie mie juz, co sami zwynie kcecie.

— Nie kcecie, to ni! Nie kce jo wos ciongnonć na powrozku do sluchanicy, ale jo kce wie- dzieć jedno, i to mi musicje po- dzieć. To nie ciskojcie sie, ale mi na jedno powiedzcie: co trza mieć, kie sie ka daleko jedzie? — powidzmy, ze do Hameryki? — To wy jesce nie wicie, jemo- sciu? A dyć tam jak sie jedzie, to trza mieć dutki i pas. — A tam, ka sie teroz wybiero- cie? — nalego plebon. — Tam? Sami mi tam powie- dzom, kie do nik przide, co trza mieć.

— To jo wom powim, Jakubie. Tam trza mieć ze sobom Sakra- ment. Potok tu jest miendzy wami, zebym wom na droge nie brakio. Myšlicie, ze se beam wstydzil, jak sie mie spyto Nie- bieski Gazda, cemuk wos pusćil takiego golego? Powim mu tak: Panie Boze! Zmudzia bel fajny chłop i dobry chłop, ino bel bardzo bojašliwy. Nie kciol sie przinać, kie bel do spowiedzi i co robil bez cale zycie, a na przyczynec jesce mnie sklonć kciol, zek mu dawol zbawienie do garzci.

Nic na to Zmudzia nie rzek, ino dysol strasnie i mysloł. Kie se juz dobre umysloł, wstol z ławy i podsed do plebana.

— Nie myšlicie se, kieszie ple- bonie, ze jo sie cego boje. Nig- dyk sie niego nie boł za zycio to sie i teroz nie kce boć, choć nie pieklem strasyce. Ale ze wos rowidze i nie kciolbyk wom zrobic zodnej przikrošci — jak padocie, zebyscie musieli ocami za mnie šwicic — to wom pa- dom: pytojcie sie mie juz, co sami zwynie kcecie.

Kozol mu plebon sionś przl nim na stoleku, a som wycion- gnon stule z kiesionki, zalozył jom na syje, i zacyna sie orka. Ej, targol ci plebon tyn ugor, targol. Siedemšiesion rokow juz zarostol, jak mu sie zwynie podobalo. To tyz broł skiba po skibie, dornia po dorni, wywra- col, krusyl, jaz calo rola bela pikno. A kie juz ta rola bela cysto, ciskol na niom Boskie Mi- losierdzie i darowanie syckego docesnego i wiecnego. Nie dar- mo bel štyrdziesć rokow plebo- nem miendzy temi ludźmi. Po- znoł juz dobre te twarde duse, i

— Nie kcecie, to ni! Nie kce jo wos ciongnonć na powrozku do sluchanicy, ale jo kce wie- dzieć jedno, i to mi musicje po- dzieć. To nie ciskojcie sie, ale mi na jedno powiedzcie: co trza mieć, kie sie ka daleko jedzie? — powidzmy, ze do Hameryki? — To wy jesce nie wicie, jemo- sciu? A dyć tam jak sie jedzie, to trza mieć dutki i pas. — A tam, ka sie teroz wybiero- cie? — nalego plebon. — Tam? Sami mi tam powie- dzom, kie do nik przide, co trza mieć.

— To jo wom powim, Jakubie. Tam trza mieć ze sobom Sakra- ment. Potok tu jest miendzy wami, zebym wom na droge nie brakio. Myšlicie, ze se beam wstydzil, jak sie mie spyto Nie- bieski Gazda, cemuk wos pusćil takiego golego? Powim mu tak: Panie Boze! Zmudzia bel fajny chłop i dobry chłop, ino bel bardzo bojašliwy. Nie kciol sie przinać, kie bel do spowiedzi i co robil bez cale zycie, a na przyczynec jesce mnie sklonć kciol, zek mu dawol zbawienie do garzci.

Nic na to Zmudzia nie rzek, ino dysol strasnie i mysloł. Kie se juz dobre umysloł, wstol z ławy i podsed do plebana.

— Nie myšlicie se, kieszie ple- bonie, ze jo sie c

UŚMIECHNIJ

ZERA NIE MOŻE

Mażonek wraca cichaczem późno w nocy do domu.

— Która godzina — pyta zaspana żona, przebudziwszy się od szelestu.

— Dziesiąta — odpowiada mąż.

— Tak. Słyszę, że właśnie bije pierwsza?

— No przecież zera nie może wybić, duszko.

ZNAWCA SZTUKI

— Wspaniały obraz. Zapewne jakiś stary mistrz?

— Ależ przeciwnie. Czy pan nie widzi, że to zupełnie młoda kobieta?

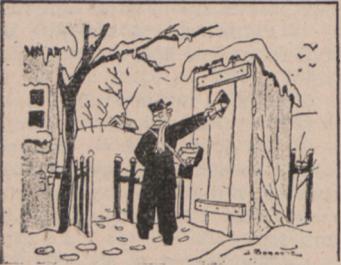
ZROZUMIAŁ

Ojciec, który dał w skórę swemu synkowi.

— Wierz mi, że to mnie więcej bolało niż ciebie.

Synalek:

— A czy też w tym samym miejscu?



UPRZEJMY LISTONOSZ

— Proszę sobie nie przeskądzać, pani Kaczmarek, przyniosłem Pani tylko poranną gazetę.

DOTRZYMUJE PRZYŚIĘGI

— Dlaczego zawsze zamykasz oczy, gdy pijesz wódkę?

— A bom przysięgi mojej żonie, że nigdy już nie zajrzę do kieliszka, no i słowa dotrzymuję.

UŚMIECHNIĘTE TWARZE

— Kasiu, proszę dać rybkom trochę więcej tartej bułki, bowiem dziś, przy molch imieninach chcę widzieć wokoło siebie same uśmiechnięte twarze.

ZE ŚWIATA TEATRALNEGO

Dyrektor spisując personalia świeżo zaangażowanej aktorki:

— Pani jest niezamężna?

Aktorka:

— Tak jest, panie dyrektorze, już po raz trzeci.



OSTATNI ODCZYT

W studio radiowym: — Przykro mi zawiadomić moich słuchaczy, że jest to ostatni odczyt, jaki wygłaszam na temat błędów i przywar kobiet.

B. WOLIŃSKI

48, Chapeltown Rd. Leeds 7.
pieprz czarna, gruboziarnista Malabar 1 A, 1 lb.—16/6,
2 lbs.—31/-, 6 lbs.—4.10.0,
14 lbs.—10.00.0. Paczka do
Polski pocztą poleconą —
pieprz czarna, Malabar 1 A,
1 lb.—20/-, 1/2 lb. wanilii w
laskach—30/-. Ceny łącznie
z przesyłką.
Proszę porównać ceny innych.

BEZ RETUSZU

WESOŁEGO JAJKA!

Od czasu, kiedy się ostatni raz dzielił jajkiem święconym z mymi bliskimi w Polsce, upłynęło lat czternaście. I tak co roku odtąd, z dala od kraju, życzymy sobie wszyscy na Boże Narodzenie, by następne święta obchodzić w swym domu, a na Wielkanoc, by nasz kraj zmartwychwstał z niewoli. Choć by nam się najlepiej powiodło wśród obcych, zawsze te życzenia mało zawierają wesołość, a wiele ukrytych myśli o kraju, wciąż przywalonym kamieniem grobowym i wciąż czekającym na dzień zmartwychwstania. Mówimy „Wesołego Alleluja” a myślimy „wolności, zmartwychwstania, powrotu do kraju”.

Święta wielkanocne były w Polsce w dużej mierze świętami obżarstwa, a często i pijaństwa, o których muszę wspomnieć, bo są to grzechy główne. Mniemam, że tym razem nikt mi nie zarzuci, że te grzechy nie są grzechami w Anglii. Było to może trochę dlatego, że dawniej ludziska w czasie Wielkiego Postu naprawdę pościli, a nie tylko udawali jak dzisiaj, a że zarazem i nie urządzali wesołych i hucznych zabaw w poście, więc i jedno i drugie chcieli sobie powetować, gdy się już wreszcie ten post skończył.

Nic tedy dziwnego, że w miastach, a zwłaszcza na wsiach naród był wypchany poczawszy od Wielkiej Soboty po rezurekcji wszelkiego rodzaju mięsami i pieczywem niczym kombatantami w Londynie ćwierć milionem funtów i że święta same upływały na dalszym obżarstwie i pijaństwie, zwłaszcza, że w Polsce nie obowiązywały „closing times” w oberżach i wódkę można było sprzedawać stale. Dopiero śmigus w drugim dniu śwąt otrzeźwiał nieco strumieniami wody rozpalone głowy, przypominając, że święta mają się ku końcowi i czas wkrótce wracać do szarej, codziennej pracy.

Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym do pochłania-

nia owych wielkanocnych kiełbas i bab sprowadzał Wielkanoc w Polsce. Były to święta bowiem u nas prawdziwymi świętami chrześcijańskimi, radości i triumfu nad śmiercią, grzechem i szatanem. Kościoły były pełne nie tylko dla tradycji polskiej, ale głównie z powodu zrozumienia, że Zmartwychwstanie Pańskie to rzecz w eka, Boża i uroczystość niecodzienna.

Gdy dziś patrzę na zmaterializowanych Anglików, którzy nawet święta religijne nazwali handlowo „Bank Holiday”, wiele z nich i to bardzo ważnych znosząc całkowicie, jestem dumny że należę do narodu, który zachował dotąd rozróżnienie i hierarchię rzeczy doczesnych, ziemskich, i rzeczy wiecznych, Bożych. Gdyby było inaczej, jakże trudno byłoby naszym braciom w kraju przetrzymać tę okropną epokę niewoli, jaka na nich spada.

Łączy nas z nimi wspólna włara w zmartwychwstanie, w opiekę Bożą nad światem i w potęgę Chrystusa, który zwyciężył świat. Cóż zostaje po dyktatorach i tyranach ziemskich? Cóż zostało tym, którzy nie wierzą w Boga i w życie wieczne, utracili dziś swego ziemskiego samowładcę, którego za boga uważali? Czymże dla nich jest Wielkanoc, wielkie święto Zmartwychwstania?

LEKARSTWA

RIMIFON-ROCHE 100 tabl. 11/-

500 tabl. 1.19.0

1000 tabl. 3.17.0

STREPTOMYCINA

10x1 gr. 44/6

PENICYLINA

ol. 3 mlj. 14/-

oraz wszelkie lekarstwa

HASKOBA

LIMITED

2, HOGARTH ROAD,

LONDON, S.W.5, Tel.: FRO. 1542.

Nowy katalog na pocztę do Polski i do Rosji na żądanie.

Michał Osa-Gderski

OSTATNI HARNAŚ

(Dokończenie ze str. 9)

wiedział jak się brać do nik. To tyz wiecior juz sie zrobil, a on nic ino sluchol ludzkiego zvcia. Ludzi juz bylo pełno w sieni, kie przisla Oleska ze swojemi i pola. Niezadlugo przised Wojtek z hol i Rozula przileciała ze wsi i tak syčka klenceli na polu i modlili sie. Kie wysed kslondz z izby, bela juz cma.

Oleska zywo zaświcila kaganek i zaczyna sie porać z wieczrozom, kie stary pado:

— Ostowciez nos samyk z Wojtkem, bo mu cosik kce rzyc. Dobrze, zes przised dzisiok, Wojtus, bo jutro bys mie zywego nie zastol — pado, kie syčka wysli. — Przisingnij ze mi zaroz, ze nie powis nikomu za swojego zycia tego, co teraz uslysys.

Kie Wojtek przising jak kciol ociec, stary ciongnon dalij:

— W Ornoku pod wantom lezom dutki — pilnuje ik tam Zubek. W Pisanyj tyz som sowane dutki, lezom pod Krzesanicom. W Koslstyj tyz som — pod spadami lezom. Pod Mniczem tyz som, lezom w trzecim oknie. Wsedy poznos ka som, bo na kozdym mijscu som wyrombane w skale trzi krzikiki. Brać ci ik

samemu nie wolno, choebys ik i jutro naloz, chyba, ze przidzie jako strasno bida na ludzi. Fte ik dostoi i ratuj nimi, kogo ino bees mog. Wis juz syčko? Kie juz wis syčko, to trza sie jakosik ogarnonć, bo fnetki przidzie plebon z Pane Bogem.

*

Kozol sie Jackowi ogolic i od Oleski wzion nowe przewlecenie. Kie sie juz umyl i oblok, obul sie w nowe portki, ze skrzini wyciongnon zbojnickom copke i pas i ubrol sie wfto syčko. Nik sie fte wiele do niego nie odzywol, bo kozdy chodzil po izbie, jak struty, a Wojtek ino telo napomknon:

— Wziniście se, tato, na droge tabaki i grajcarów?

Ale staremu nie trza beo o tym przypominac. Downo se syčko przyryktowol i wlozil do serdoka. Beły juz w kiesonce: i miechurek z tabakom i dobre prziesiwo i troche grajcarów; bo po co mu oto syčko pytać kogo na drugim swiecie, kie moze swoje mieć. Kie przised plebon z Pane Bogem, beł juz cõkiem gotowy na smierć; bo i Wojtek oześcielil na zmi oklocek słomy,

Chwała Bogu, akurat przed Wielkanocą zniesiono wreszcie w Anglii racjonowanie jaj, mogą więc polskie gospo-se ozdobić pięknie pisankami wszystkie półmiski, nie rujnując się na poszukiwanie tych jajek i przepłacanie ich w pasku. Gorzej z szynką i z kiełbasami, które choć noszą różne piękne nazwy regionalne polskie, nigdy nie dorównają naszym oryginalnym, przedwojennym, krajowym. Z barankiem z masła też będzie jeszcze nieco kuso, bo ze swej tygodniowej racji tak ego baranka nie wyprodukujes nie sfalszowawszy go obficie margaryną. Ale to już nie jest takie ważne. Wystarczy, że ksiądz będzie mógł te pokarmy poświęcić, a będzie ich pewnie najwięcej i wcale niezłych w polskich hostelach, gdzie stare i najstarsze pokolenie nie tylko niezrozumiane polskie przepisy kulinarne pamięta, ale też wciąż jeszcze skrupulatnie stosuje. Jeśli ktoś chce w święta dobrze podjeść, radzę koniecznie, niech jedzie do swych znajomych w hostelu. W Londynie nigdzie tak dobrze nie zjesz i nie nałykasz się takiej wspaniałej polskiej atmosfery świątecznej.

Ale widać, że mnie znowu napadną różne polskie firmy żywnościowe twierdząc, że im psuje interes, zachwalając wyroby domowe. Spieszę więc zapewnić, że nie podobnego. Baby, mazurki i ciasta oraz strucle, kiełbasy i paszety z tych firm są też dobre o czym wiem, choć jadam je rzadko, bo słono, psia kość kosztują.

Chciałbym jednak na tę Wielkanoc wyciągnąć ku wszystkim czytelnikom talezryk, z pokrajany pięknie w ćwiartki, ugotowanymi na twardo, poświeconym jajkiem i dzieląc się z nimi, by zachować tradycję polską w obcym kraju, powiedzić, że życzymy byśmy tak, jakęśmy przeżyli Stalina, przetrwali również w dobrym zdrowiu reszcie naszej tułaczki i doczekali się rychło zmartwychwstania naszej ojczyzny. Polski.

RZECZY CIEKAWY

ZANIK LODOWCÓW W ALPACH

Lodowce Alpejskie w Szwajcarii, zanikają w takim tempie, że niektóre partie krajobrazu radykalnie zmieniły się już w ciągu kilku lat. Ostatni wielki okres lodowcowy skończył się około 20.000 lat temu. Lodowce alpejskie sięgaly wówczas po dolinę Dunaju. Obecne lodowce powstały znacznie później dzięki gromadzeniu się śniegu. Czy obecne zjawisko łączy się ogólnym ociepleniem klimatu w Europie, nie wiadomo.

„ATLANTROPA“

Pian Atlantropy przewiduje wybudowanie jednej tamy w Gibraltarze i drugiej we wschodniej części Morza Śródziemnego. Dzięki obniżeniu się poziomu morza o 100-200 metrów powstałyby nowe lądy, dając pracę i wyżywienie milionom mieszkańców. Ostatnio z krytyką planu wystąpił uczony niemiecki prof. Heiser. Twierdzi on, że w razie budowy obu tam przewidywane wyłonienie nowego lądu nastąpiłoby dopiero po 100 latach. Zmniejszenie powierzchni Morza Śródziemnego i tym samym ilości opadów przyniosłoby katastrofalne skutki klimatyczne i zamast więcej zboża spowodowałoby ubytek 150 milionów ton.

JAK JEST NA MARSIE

Atmosfera na Marsie jest znacznie rzadsza od ziemskiej. Z powodu masy, wynoszącej tylko 11% masy ziemskiej, siła przyciągania na Marsie jest 2,6 razy mniejsza, co powoduje związane z planetą mniejszą gęstość powietrza. Średnie ciśnienie atmosferyczne na Marsie wynosi tylko 80 milibarów wobec 1.013 na Ziemi. Temperatura z powodu większej odległości od słońca jest znacznie niższa; średnia roczna na powierzchni wynosi około 15 stopni poniżej zera, gdy na Ziemi około plus 15 stopni. Różnica między temperaturą dnia i nocy dochodzi do 100 stopni, co również dowodzi rzadkości atmosfery. Widoczne w teleskopie cieniutkie obłoki są kryształkami kwasu węglowego. Rok na Marsie jest równy prawie dwóm na Ziemi. W lecie temperatura w okolicach podzwrotnikowych dochodzi do plus 20, a w zimie temperatura pod biegunami spada do -100. Lody polarne, szybko topniejące z nastaniem lata, zawierają większą część wody z atmosfery. Wody jest w ogóle na Marsie znikomo mało i dlatego nie występują tam chmury, ani też nie pada deszcz. W tych warunkach nie ma mowy o świecie roślinnym, choć nie można wykluczyć, że w jakiejś postaci występuje i tam życie, posiadające — jak wiadomo — olbrzymią zdolność przystosowywania się.

WSZELKIE LEKI DO KRAJU WYSYLA

Mgr. B. Dalski, Mgr. L. Oliwa
APIEKA LTD.

The Brompton Pharmacy

68, Fulham Rd., S. Kensington.

London, S. W. 3

Tel.: KEN 7410

100 tabl. Rimifon £0.11.0

500 tabl. Rimifon £1.19.0

10 gr. Streptomycyny £2.2.6

3 mlj. Peniciliny ol. £0.14.0

z przesyłką

Apteka czynna w dni powsz.

do godz 8 w., w niedziele od 11.30 do 1 pp.

Józef Zych

Koronacja Królowej Elżbiety II będzie najwspanialszą uroczystością, jaka kiedykolwiek miała miejsce. Jest ona jedyną w obecnym świecie, ponieważ w pozostałych, nielicznych, monarchiach żaden król już się nie koronuje. Sama zapowiedź koronacji wzbudziła w całym świecie wielkie poruszenie, bo dwór brytyjski wzbudza nieklamany szacunek w nowoczesnym świecie. Dziwnym zbiegiem, koronacja wypada w chwili, gdy podpadające imperium brytyjskie nadludzkim niemal wysiłkiem podciąga swoją pozycję. Anglicy wysunęli się na pierwsze miejsce w dziedzinie lotnictwa, zdobyli się na własną bombę atomową i starają się w tej rujnującej konkurencji również wyjść na czoło narodów świata. Wysilek ten jest wspólnym dowodem ciągłości historycznej imperium w chwili, gdy inne narody łamią swoje tradycje.

100 MILIONÓW FUNTÓW

Jak wielką wagę przywiązują Anglicy do uroczystości koronacyjnej, świadczy olbrzymi wkład finansowy rządu brytyjskiego. Koronacja będzie kosztowała skarb brytyjski przeszło 100 milionów funtów szterlingów, nie licząc o wiele większych sum wykładanych z inicjatywy prywatnej. Ujrzymy widowisko, jakie tylko imperium brytyjskie może pokazać światu. Korony, berła, klejnoty i stroje nieocenionej wartości. Korowód przeszło 1200 osobistości, markizów, hrabiów, baronów, biskupów i dworzan królewskich w odwiecznych strojach.

B. M. Fitzlan Howard, 16 książę Norfolk i obecny Wielki Marszałek Anglii, jest mistrzem tej ceremonii. Przez rok jest Książę Norfolk największą wyrocznią i arbitrem bezapelacyjnym imperium w dziedzinie etykiety, protokołu i mody. Nie tylko baczny na zachowanie się parów Anglii, ale nadzoruje działalność prasy, radia i telewizji, kieruje wszystkimi przygotowaniem oficjalnymi. Zaprasza i ustala listy gości z imperium i zagranicą.

KATEDRA I STROJE

Niektóre firmy londyńskie już od kilku miesięcy wystawiają modele strojów koronacyjnych. Strój barona kosztuje £ 400, księcia około £ 500. Firma Baroq Ltd., która sprzedaje pod-

KŁOPOTY I RADOŚCI KORONACYJNE

TADEUSZ ZALESKI

czas koronacji Kr. Jerzego VI 45 kompletów strojów, nie będzie mogła tym razem sprzedać więcej jak 20. Klasa bogaczy w Anglii skurczyła się do minimum. Reszta strojów będzie wypożyczana dawnym właścicielom przez firmę Moss Bros Ltd., która ma również monopol w tej dziedzinie. W firmie tej par Anglii będzie się mógł ubrać za £ 25.

Przygotowanie opactwa Westminsteru pociągnie koszt około £ 350.000. Pracami kieruje minister robót publicznych wedle wskazówek Wielkiego Marszałka. Wydatek ten zwróci się w większej części przez sprzedaż pamiątek. Po koronacji Króla Jerzego VI rząd brytyjski sprzedał jako pamiątki wszystkie krzesła użyte w czasie ceremonii, jak i 6.000 poduszek i kilo-

metry brokatu. Wszystkiego jednak było za mało. 43 kilometrów trybun i barier musi wybudować ministerstwo robót na trasie pochodzącej koronacyjnej, ale wydatek rządu na ten cel w wysokości miliona funtów jest kroplą w morzu wobec wydatków firm i osób prywatnych, których sklepy i mieszkania znajdują się na trasie. Jedna z firm wydała na dekorację fasady „tylko” £ 7.000. Cały przemysł powstał i pracuje wyłącznie na koronację. Z ukrytym załem amerykański „Time” pisze: Koronacja Królowej Elżbiety będzie świętem wszystkich krajów demokratycznych. Ale

zaraz podkreśla, że koronacja będzie również świetną aferą handlową dla skarbu brytyjskiego. Nie ulega wątpliwości, że obroty brytyjskie z okazji koronacji sięgają będą setek milionów funtów. W samym tylko hrabstwie Staffordshire dziesiątki fabryk i warsztatów wytwarza część z 12 milionów artykułów, które będą nosiły inicjały Królowej, koronę lub jej portret.

SPEKULACJA NA TELEWIZJI

Do chwili obecnej największym przedsięwzięciem handlowym z okazji koronacji była spekulacja przemysłowca brytyjskiego, który kontroluje sprzedaż aparatów telewizyjnych w Wielkiej Brytanii. Zmagazynował on kilkaset tysięcy aparatów telewizyjnych. Przy nasyceniu rynku angielskiego było to przedsięwzięcie ryzykowne, tym bardziej, że książę Norfolk ogłosił, iż tylko wejście i wyjście Królowej z opactwa Westminsteru będzie nadane na telewizję. Debatą na temat transmisji telewizyjnej oparła się jednak o Parlament, gdzie Churchill musiał się wypowiedzieć na ten temat. Ostatecznie Wielki Marszałek ustąpił i w opactwie zainstalują 16 kamer, a 2 speakerów, angielski i francuski (ze względu na Kanadę) postępować będą za Królową w czasie całej ceremonii. Dzienniki podały te wiadomości w sobotę wieczorem, a w poniedziałek zarejestrowano 100 tys. nowych zamówień w samym tylko Zjednoczonym Królestwie. Od tego czasu dzienniki ogłaszają zarządzenia dotyczące koronacji, które wzbogacają lub rujnują kupców i przemysłowców.

Bilety wstępu na trybuny drukowane są w formie prostokąta i przypominają swym wyglądem banknot sterlingowy. Niedawno, na granicy francusko-włoskiej policja przychwyciła w czasie rewizji celnej 30 takich kart, o których wiadomo, że nie powinny znajdować się poza granicami Anglii. Złapani aferzyści oświadczyli wprawdzie, że działali na własne ryzyko, ale międzynarodowe biuro policyjne w Paryżu wie o istnieniu szajki, która rozdziela zaproszenia na koronację wraz z biletami wstępu na trybuny. W Stanach Zjednoczonych bilet wstępu na trybunę kosztuje obecnie 130 dolarów. Na tydzień przed koronacją ten sam bilet będzie kosztował pięć razy tyle. Już 1 grudnia ub. roku Scotland Yard za pośrednictwem policji międzynarodowej zawiadomił wszystkie organy bezpieczeństwa państw świata, że 500 takich zaproszeń skradziono w drukarni królewskiej w Londynie. W jakiś czas potem zdemaskowano bandę fałszerzy funta w hrabstwie York, gdzie odróżc banknotów znaleziono fałszywe karty wstępu na koronację. Nie ulegało więc wątpliwości, że międzynarodowe bandy przystąpiły do „spółki” z rządem brytyjskim.

UKŁAD POLICJI Z KRÓLEM... ZŁODZIEI

Po raz pierwszy bodaj w hi-

Marian Gawalewicz KRÓLOWA NIEBIOS

Legends o Matce Boskiej
12, Praed Mews, London, W.2
z ilustracjami

Piotra Stachewicza
Cena 15/- z przesyłką 15/6
Do nabycia w

Veritas F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W.2.

storii, dumny brytyjski Scotland Yard został zmuszony — jak oświadczył inspektor Hughes — do zwrócenia się o pomoc policji innych państw dla obrony W. Brytanii przed gangsterami. Świadczy to o olbrzymim zainteresowaniu całego świata koronacją Królowej Elżbiety. Nie tu jednak koniec kłopotów policji brytyjskiej. Inspektor Hughes zaważwał przed kilku tygodniami „najwybitniejszego” złodzieja kieszonkowego Anglii, Bert Hayasa. Zakomunikował mu, że 2 czerwca w czasie koronacji odbędzie się zjazd wszystkich złodziei Anglii i pewnej ilości „gwiazd” z tej dziedziny z kontynentu. Ponieważ w tym dniu na trasie pochodzącej koronacyjnej zamieszane będzie dwa i pół miliona ludzi, w tym 40.000 cudzoziemców, posiadaczy poważnych sum pieniężnych, policja nie może opanować sytuacji w sposób dyskretny, jak tego wymaga uroczystość. Wobec tego policja proponuje mu pewien układ. Naturalnie Scotland Yard nie ogłosił warunków układu, ale wiadomo, iż Bert Hayas otrzymał dla siebie i towarzyszy zupełną nietykalność przez jeden rok, i zwolnienie z więzień kilkudziesięciu przyjaciół. W zamian za to, Hayas zobowiązał się do uniemożliwienia kradzieży wszystkim zawodowcom. Policji pozostaje więc zająć się tylko złodziejami z kontynentu, przybyłymi w gronie turystów.

Wbrew wysiłkom władz i czynników bezpieczeństwa, czarny rynek rozwija się w jak najlepsze. Angielskie biuro podróży Cook w Paryżu sprzedawało bilety podróży Paryż—Londyn na dzień koronacji po £ 35, dziś — ten sam przejazd kosztuje £ 66. Tak samo ceny hoteli i prywatnych pomieszczeń skaczą z dnia na dzień. Wszystkie pokoje w hotelach i pensjonatach na dzień 2 czerwca są wynajęte w promieniu 200 km, włączając w to północne wybrzeża Francji. Na przedmieściach Londynu stać będzie 30 pociągów—wagonów sypialnych, dziesiątki statków zakotwiczy się na czas koronacji u wybrzeży Tamizy. Zarząd miejski Londynu wystawia około 30 000 namiotów w Epping Forest i przygotowuje nocleg w olbrzymim schronie przeciwlotniczym w południowym Londynie.

Tak oto w wielkim skrócie przedstawiają się kłopoty i radości Brytyjczyków związane z intronizacją nowej Władczyni Imperium.

Tadeusz Zaleski

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

Drzewa ojczyste

Owiane gwiazdami i mrokiem, chłodne od rosy
[przejrzystej,
Zjawiacie mi się nocami, o drzewa moje
[ojczyste!
Nad snem mym szumiecie zielono, cieniem gładzicie
[po głowie,
Szepczecie do mnie kojąco w znajomej litewskiej
[mowie.Czołami oparte o siebie, potężne wiązy
[z Kielmiei,
Żywe stoicie przede mną — i wiatr polny nad wami
[wieje

I blaski przesiewa przez liście i złote migoty
[stwarza
Na mchem porośniętych mogiłkach zapomnianego
[cmentarza.
Czarne, srebrem znaczone świerki z Porubańskiego
[lasu

Ramionami sięgają prawie traw zielonego
[atlasu,
Otulają mię tkliwie i czule, kryją od światła
[ogromu,
Chowają bezpiecznie, słodko w żywicznym
[rodzinnym domu.
Dęby z Ponar cichutko dzwonią w majowej
[ciszy wieczora,
Z ich liści ulewnie splotywa perlisty słowicz
[chorał...

Stara jabłoni, co przy mym ganku kwitła na
[wiosnę różowo,
Pachnące i blade płatki rozpyła nad moją
[głową...
Do pni mocnych tulę się we śnie, gorącą skroń
[liściem chłodzę
I wiem, że te drzewa, wracając, — nie z Polski
[do mnie przychodzą,
I że nie są żywą materią, w której rytm soków
[kołata,
Ale duchami, co do mnie przychodzą z tamtego
[świata.

I przeczuwam, że dawno legły pod ostrym
[toporem wroga
Po gajach, lasach i sadach, po traktach
[i sennych drogach,
Ze cień ich nie gości ptaków w przelocie,
[świertgocie, gwarze —

I tylko po nich poręby świecą jak świeże
[cmentarze.
I przeczuwam, że gdy bezdomna, tęskniąc
[za nimi umrę,
To nie z dębiny, nie z sosny ludziska zrobią
[mi trumnę
I nie złożą mnie w cieniu wiązków przy łąk
[kielmiejskich równinie,
Lecz owiną w całun nędzarzy, zasypią
[żwitem pustyni...

Wtedy dobry Bóg do mnie przyjdzie, weźmie
[w ramiona miłości
I powiedzie między te drzewa, odkwitające
[w wieczności...
I zbawiona szumem jak modlitwą, uzdrowiona
[cieniem jak łaską,
Pójdę po bladym, ustającym złotymi plamkami
[piasku...

Zofia Bohdanowiczowa

DBAJ O ZDROWIE RODZINY WYSYLAJ LEKI DO KRAJU

POLSKA APTEKA M. STANKIEWICZA

wysyła wszelkie leki po cenach katalogowych

74, Deacon St., London
S.E.17. Tel: ROD 4628.

Rimifon	100 tabl.	£ 0.11.0
—	300 tabl.	£ 1. 4.0
—	500 tabl.	£ 1.19.0
—	1000 tabl.	£ 3.17.0
Streptomycyna 10 gr.		£ 2. 2.0
Penicylina ol. 3 milj.		£ 0.14.0

MONTEVERDE

TEXTILES TRADING

Wholesale, Retail, Export & Home Market

5A, Kilburn Priory

London N. W. 6.

Telefon: MAIda Vale 9924

Poleca duży wybór materiałów wełnianych męskich i damskich, pochodzących wprost z pierwszorzędných fabryk angielskich, po cenach najniższych.

Firma nasza skutecznie również wysyła zamówionych materiałów gdziekolwiek za granicę.

Na życzenie P. T. Klientów wysyłamy próbki wraz z cenami.

JEŚLI LEKI TO Z APTEKI APTEKA GRABOWSKIEGO

175, DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S. W. 3.

Telefon: KEN 0750.

Wysyła wszelkie leki do Polski i innych krajów.

10 gr. STREPTOMYCYN	£ 2. 2.0
100 TABLETEK RIMIFON ROCHE	£ 0.11.0
500 TABLETEK RIMIFON ROCHE	£ 1.19.0
1000 TABLETEK RIMIFON ROCHE	£ 3.17.0
3 MILIONY PENICYLINY OLEISTEJ	£ 0.14.0

Ceny powyższe obejmują koszt przesyłki i ubezpieczenia.

Na składzie posiadamy tysiące leków, które możemy wysłać na każde zapotrzebowanie. Informacje bezpłatnie. Odpowiedź zaliczamy natychmiast.

W APTECE GRABOWSKIEGO DOSTANIESZ
WSZYSTKO DLA CHOROGE.



Ferab...
Dzisiaj wiem, że to jest miasto w azjatyckiej Rosji (Turkistanie) nad rzeką Amu-Darią. Wtedy nie wiedziałem o jego istnieniu i nie śniło mi się, że spędzę w nim kilkanaście dramatycznych dni.

Było to pod koniec roku 1941 na zesłaniu w Altajskim Kraju na Syberii.

Już od kilku miesięcy tworzyło się gdzieś Wojsko Polskie. Dochodziły zesłańców niejasne o nim słuchy, że jednak — trawestując znane powiedzenie — w Rosji sowieckiej „Pan Bóg wysoko a Stalin daleko“... w naszym sowchozie nic się nie zmieniało.

Mimo zapowiedzianej w układzie polsko-sowieckim oślawionej „amnestii“, miejscowe kacyki nie kwapiły się z dotrzymaniem umowy, nie chcąc pozbywać się niewolniczej siły roboczej. Ponieważ nam w dalszym ciągu, gnano na roboty przymusowe, grożono sądami za „sabotaż“, odbierano racje chleba w razie nie osiągnięcia t.zw. normy.

Wszystko przecież na świecie ma swój kres, nawet w Bolszewii. (Tam co prawda jest nim przeważnie... kres wędrowni ziemskiej)...

Nagle węc pewnego dnia zjechało w komplecie miejscowe NKWD i zaczęło sporządzać jakieś spisy. Z doświadczenia wiedzieliśmy, że w ponurej krainie łagrów wszelkie spisy nie wróżą nic dobrego. Ufni wszakże w brzmienie układu, spragnieni wydostania się za wszelką cenę do wojska, wytłumaczyliśmy sobie tę wizytę, że chodzi tu o pobór do armii polskiej.

Nastroje wśród zesłańców znakomicie się podniosły, kiedy major, szef NKWD potwierdził nasze domniemanie, oświadczając, że „ze względów klimatycznych“ będziemy przewiezieni na południe, stamtąd zaś całymi rodzinami kierowanymi do poszczególnych ośrodków wojskowych. Ba — nie chciało się wierzyć własnym uszom! — major wezwał nas, abyśmy wskazywali miasto, do którego pragnęlibyśmy pojechać. Uprzejmość swoją posunął tak daleko, że pozwolił nam się naradzić co do wyboru miejsca. Słowem, zapachniało wiosną...

Ponieważ zaś szła już groźna zima sybirską i byliśmy przemierzający do szpiku kości, mając za całe schronienie nieopalaną barak z dziurawym dachem, nic dziwnego, że zamarzyliśmy o południowym klimacie. Po krótkiej naradzie wybraliśmy jednoznacznie Samarkandę, oazę rajską w Uzbekistanie, gdzie, jak słyszeliśmy, tworzą się również oddziały polskie.

Nu, ładno, niech będzie Samarkanda. — Życzliwie i przyjaźnie uśmiechnął się pan major. Poleciał wystawić nam odpowiednie dokumenty i pożegnał się z wniebowziętymi zesłańcami, życząc im szczęśliwej i milej podróży...

Po wyjeździe NKWD... zapędzono zesłańców z powro-

tem do pracy i orano nimi do ostatniej chwili, stosując cały wypróbowany arsenał środków zapobiegawczych, aby nam się przypadkiem nie przewróciło w głowach i nie zdawało, że wraz z niezrozumiałą zmianą nastrojów na szczytach reżymu coś zmieniło się i mogło się zmienić w reżymie sowchozu.

Mimo to jednak i mimo, że każdy dzień, dzielący nas od upragnionego transportu zdał się wiecznością, zesłańców nie opuszczała nastroj odświeżonej radości. Jej słodczy nie psuła nawet gorzka świadomość, że mamy być „amnestionowani“... przez kogo i za co!... pytał jeden drugiego...

Aż wreszcie nadszedł wielki dzień.

Po nieskończonych i duczliwych po sowiecku formalnościach, nędzny bagaż zesłańców został załadowany na wozy ciężarowe; zabrano na nie niezdolnych absolutnie do marszu, reszta musiała drałować pieszo kilkanaście kilometrów na stację o smaczkowej nazwie Rubcówka, świadomość, że opuszczamy ponure miejsce udręki i jedziemy na południe, barwiąca się w marzeniu wszystkimi kolorami tęczy, przypinała maszerującym skrzydła do ramion i ochoczo niosła ich w kierunku utęsknionej stacji.

Na dworcu panował rwetes nieopany. Okazało się, że zgoniono nań również okoliczne obozy zsyłek — wszystkie, wiedzione jedną myślą i tęsknotą, po rozestaniu wzajemnych wici, wybrały wespół z nami Samarkandę. Zebrał się więc ogromny tłum obojga pici i różnego wieku, poczynając od zgrzybiałych staruszek a kończąc na niemowlętach przy piersi, urodzonych już w niewoli sowieckiej.

Kwlenie tych nieszczęsnych niemowląt, płacz dzieci, ujadanie zdenerwowanych kundli, płaczących się zawsze i wszędzie przy Polakach i wybierających się skrycie a solidarnie z nami do Samarkandy, jęki i przekleństwa przy zmaganiu się z co cięższą skrzynią lub workiem, nieprzytomna bieganina i nawoływanie się wzajemne pogubionych członków rodzin, walka słowna a czasem i fizyczne szamotanie się w celu zdobycia możliwego miejsca, skoro tylko podstawiono pociąg — wszystko to składało się na słuchowisko jakiegoś piekielnego radija...

Ostatecznie przecie, choć każdy wagon przypominał raczej pudełko sardynki, ludzie się jakoś umieścili, rzeczy ułożyły, zaraz też wzburzone fale morza ludzkiego poczęły się uspokajać.

Wkrótce zapadła na dworze noc głęboka — w nieoświetlonych wagonach zapadła już wcześniej. Dobrotliwy sen spłynął na starych i młodych, okutanych w co się dało i przytulonych jeszcze ciasniej do siebie, jako, że przez rozbite szyby ciągnął ostry zamróż sybirski.

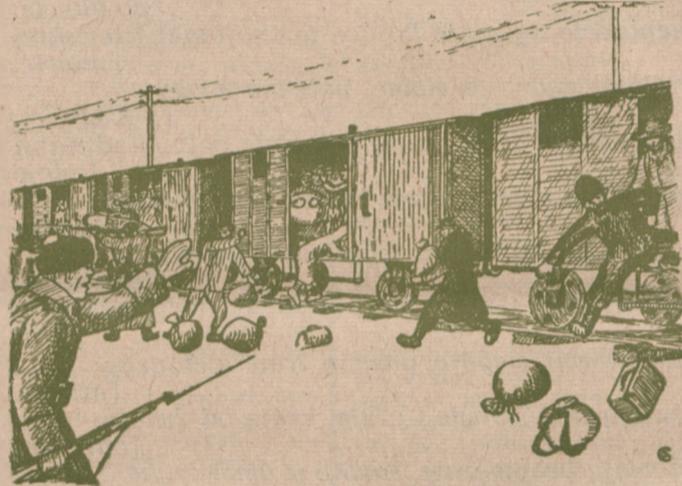
W ciszy nocy głębokiej, pod zimnymi, dalekimi gwiazda-

JOZEF RELIDZYŃSKI

mi, nierówne, zmęczone oddechy, głośne chrapanie, to znów ciche kwilenie, postękiwania i westchnienia, czasem całe słowa, rzucane przez sen. — splatały się z monotonnym stukotem kół pociągu, sunącego w nieznane jutro...

Zwolna wygładzały się boleściwe twarze, jak gdyby omżone światłem dalekich gwiazd, oddechy spiących wyrównywały, uciszały się jęki we wdychania i mamroty, rzekłbyś — ukołysane magicznym refrenem kół, wybijających miarowy takt na werblu szyn: sa... mar... kan... da... sa... mar... kan... da...

Z myślą o słonecznej stoli-



...jak gdyby na komendę z hukiem i trzaskiem gwałtownie otwieranych drzwi... wysypało się mrowie ludzkie...

cy Tamerlana spał pociąg zesłańców sybirskich.

Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Mijał dzień za dniem, szare i monotonne, jak przesuwane ziarnka różańca.

Po nagim, pustynnym krajobrazie, egzotycznych, z gliny, ulepionych domkach bez okien, na zewnątrz, z okrągłymi ścianami i płaskim dachem, miarkowaliśmy, że znajdujemy się w centralnej Azji.

Jednakże wiosna nie kwapiła się z przyjściem; zdawała się wlec, niby nasz pociąg, często-gęsto zatrzymujący się po drodze dla nabrania tchu i wody. Z tej ostatniej, o wątpliwej jakości i czystości, na równi z parowozem musieli korzystać pasażerowie pociągu.

„Kiplatok“, od wieków stanowiący obok paszportu drugą część duszy rosyjskiej, był jedynym „posiłkiem“, którego nam w drodze nie szlekdził; o chlebie i zupie natomiast często zapomniano i zmieniali one, że tak powiem, kierunek swego przeznaczenia. Świadczyć o tym zdawał się kwitnący wygląd naszej eskorty, jaskrawo odbijający od zapadniętych i śniedziałych z każdym dniem bardziej twarzą „samarkandowiczów“ tak dobrotliwie przezwana zesłańców obsługa i ochrona pociągu...

Brakom starał się, jak mógł, zaradzić wybrany przez nas ad hoc Komitet; on użerał się z komendą sowiecką transportu, rozdzielał chleb, walczył o mleko dla dzieci. Jego dyrektywy były słuchane karnie i solidarnie, jak to Polacy w chwilach ciężkiego dopustu Bożego potrafią. Niestety, wkład energii Komitetu był nie zawsze współmierny z powodzeniem jego akcji; tępota, obojętność i zła wola sowieciarzy przypominały skalisty brzeg, o który rozbijają się fale morskie...

Komitet pilnie studiował na prymitywnej zresztą mapie trasę naszej podróży. W pewnej chwili spostrzegł z zaniepokojeniem, że wprawdzie jedziemy gdzieś na południe, przecież droga na mapie nie pokrywa się z mijanym przez nas szlakiem...

brzmiał szeptem głos z za okna — gdzie Samarkanda!... jesteście w Turkistanie... wiozą was nad Amu-Darię... już niedaleko... tam was wsadzą na „barżę“... powiożą na kopanie kanału... w malarie... bagna... mówią, że moc naszych tam gnije... — głośny dźwięk młotka zagłuszył dalsze słowa.

Postać nieznanego wsiąka w ciemność... wzdłuż wagonów przeszedł enkawudzi-sta z psem.

Sytuacja była tragiczna — bardziej czarna, niż w najczarniejszych domysłach można było spodziewać; wymagała jakiejś natychmiastowej decyzji.

Zaraz też, mimo nocnej pory, przy tłym się ogarku świecy, zebrał się nasz Komitet. Zaledwie zaś pociąg ruszył w dalszą drogę, po zalarmowanych tymczasem pantoflową pocztą wagonach rozeszły się wici:

„Skoro tylko i gdziekolwiek pociąg przystanie, wyrzucać rzeczy i wysiadać... nie dać się wpędzić za żadną cenę z powrotem do wagonów...“

Teraz nikt już nie zmrużył oka. Gorączkowo pakowano się, ubierano dzieci. Tu i ówdzie próbował ktoś zawodzić lub oponować, ale ofuknięty przez towarzyszy podróży milknął i z rezygnacją poddawał się woli ogółu.

Przez mętne szyby wpełzał do wagonów zgnity świt, a wkrótce i dzień bez rumieńca. W jego bladym świetle pogłębiła się jeszcze bladeść wynędzniałych twarzy, na których malował się niepokój o najbliższą przyszłość, ale także zaciętość i zdecydowanie na wszystko.

Na polach, niby czarne, rozwiane sztandary, podrywały się z wiatrem kraczące wrony. Larwa niewyraźnego słońca daremnie próbowała wyplatać się z kokonu ciemnych chmur.

Sen o włości samarkandzkiej był przesłonięty...

Stuk kół stał się teraz nierówny, jak bicie chorego serca; z każdym ich obrotem zbliżała się z mora ponurej rzeczywistości, nie wiedzieć co kryjącej w swoim łonie.

Pociąg zaczął zwalniać biegu...

Rozpostarł się przed naszymi oczyma wielki pusty plac; mignęły w głębi budynki stacyjne, jeszcze dalej most kolejowy, rzucony przez jakąś rzekę.

— Amu-Daria... — szepnęła poblady mi; usta stojąca najbliższej okna kobieta. Oczy jej wbiły się w siną wstęgę wody, rozszerzone przerażeniem, jakby dojrzały upłora...

Pociąg jeszcze nie zdażył się zatrzymać, kiedy, jak gdyby na komendę, z hukiem i trzaskiem gwałtownie otwieranych drzwi, obarczone dziećmi i tobołami wysypało się mrowie ludzkie...

Zanim nieliczna eskorta zdołała się opamiętać, ludziska rzucili się w kierunku placu, zalegając go pokotem na swoich tobołach, rzuconych w lepkie, dojmujące chłodem blocko.

Rozpoczęła się awantura w stylu sowieckim.

Najprzód weszła do akcji eskorta pociągu.

Jednakże ani klątwy, ani wyzwiska, ani szarpanina nie potrafiły zmusić siedzących i leżących buntowników do ruszenia się z miejsca; spowodowały tylko szereg ostrych utarczek.

Wobec tego nadbiegło w surkus zawezwane NKWD.

Ci operowali już bardziej wyrafinowanymi metodami...

Nastąpiło śledztwo *). A więc perswazje, popierane „oficerskim słowem honoru“, że barze nie są takie straszne, jak je malują, że chodzi tylko o krótki pobyt w niedalekich kotchozach, że nie ma do nich innej komunikacji i że stamtąd będziemy „nieprzemienno“ dostarczeni wprost do polskiego wojska. Perswazje były popierane pogrozkami rozstrzelania Komitetu, zdziśiatkowania nieposłusznych i niesfornych...

Jakby na potwierdzenie tej groźby, zręcznie wyreżyserowane przez najręczniejszych pod słońcem reżyserów, — w pewnej chwili pojawiły się karabiny maszynowe, zataczając wielki krąg wokół naszego, jak nazwaliśmy pamiętny plac, „oboza“. Towarzyszył im oddział „bojcow“ z gotowymi do strzału karabinami.

A tymczasem fruwały jakieś depesze, dzwoniły bez ustanku telefony; raz po raz odwoływano od śledztwa głównego bonze...

Tak trwało do wieczora.

To, że nas jeszcze nie „zlikwidowano“, że karabiny maszynowe i krasnoarmieje nie przystąpiły od razu do „krasnej“ roboty, jak by to się niechybnie zdarzyło jeszcze przed kilkoma miesiącami; że przy śledztwie nie było i nie kopano, że skończyło się na pogrozkach; wręcz te depesze i telefony — wszystko to niosło nam otuchę i pozwalało jaśniej spojrzeć w przyszłość.

Atoli ludzie zmęczeni długą podróżą, wyczerpani do ostateczności wrazeniami ubiegłego dnia, byli tak nieludzko zmęczeni, że nie mogli nawet myśleć o słabo zarysowujących się gdzieś na horyzoncie perspektywach bardziej ludzkiego życia. Zwalili się, bykłody, na swoje toboły, narzucili na siebie co kto miał, przywarli jeden do drugiego, próbując zasnąć.

Nad placem niedoli polskiej zaległa martwa cisza, jakby przeleciał nad nim anioł śmierci...

A jakby mało jeszcze było tej niedoli, zaczął sypać, rzadki w tym kraju, wilgotny śnieg.

Wkrótce zasypał, rozłożonych po całym placu, ludzi i toboły tak, że poszczególne grupki przypominały teraz ubogie mogiłki, czerniące się podczas śnieżycy.

Nagle gdzieś w głębi drgnął jeden kopczyk mogiłny. Rozległo się coś, co zrazu można było wziąć za fantasmagorie senna...

Kilka drżących głosów kobiecych nieśmiało zaintonowało „Serdeczna Matko“...

*) Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że jesteśmy pod miastem o dzwęcznej nazwie Ferab; pobliska rzeka — to istotnie Amu-Daria, a u jej brzegu czekają już przygotowane „barze“ — wielkie pływające groby... przypominały się słowa polskiego kolejarza. (Przyp. aut.).

Drgnęły inne kopczyki; drgało ich coraz więcej, rzekłbyś — zmarli poruszyli się w swoich grobach...

Jakby przeszło zmęczenie, jakby źródło ożywczy spłynął w znekane serca, jakby w zwątlone ciała wstąpił nowy zapas sił...

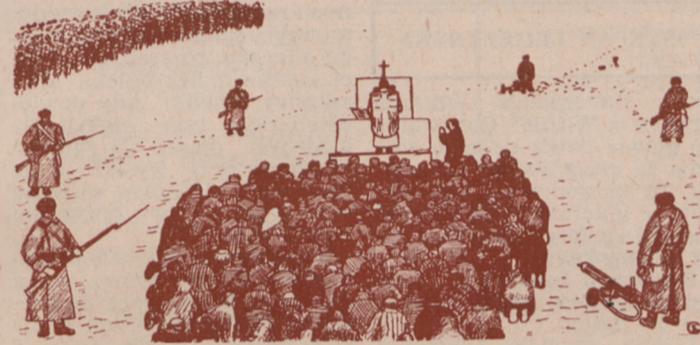
Podchwyciono słowa pieśni:

„...opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierot
do litości wzbudzi“...

Wśród wartowników grzejących się przy ogniskach powstał ruch. Kilku poderwało się, zaraz jednak, widocznie na rozkaz jakiejś szarzy, wróciło na swoje miejsca. Ten i ów bryznął jeszcze cynicznym śmiechem lub słowem, ale i one ucichły, jakby onieśmiałone.

Płonące ognie oświetlały twarze żołdatów. Przyglądałem im się uważnie. I widziałem jak wyraz tych twarzy zwolna się zmieniał; jak złośliwy błysk oczu, wzywający uśmiech poczęły ustępować — naprzód jakby zdumieniu, potem czemuś w rodzaju zadumy czy wzruszenia.

Była to jedna z owych rzadkich chwil w życiu ludzkim, gdy nawet u najlichszej jednostki i choćby na błysk se-



...dla wielu z nas była to od chwili aresztowania pierwsza Msza święta...

kundy można podpatrzeć wewnętrzne przeobrażenie; gdy nagle budzi się w tym człowieku głos obcy mu i nieznan, często niezrozumiały, a zawsze dziwnie słodki i przemowny...

Ledwie ucichła pieśń serdeczna, wraz zerwała się nowa — „Kto się w opiekę“.

Teraz już śpiewał cały obóz. Pieśń rosła, nabrzmiewała mocą. Splatała się z dymem ognisk sowieckich i, jak gdyby potężny ptak o sinych skrzydłach, wzbijała się w przestworza.

„Aniołom Swoim każę się pilnować“...

I oto, gdy przebrzmiały ostatnie tony pieśni i plac zaległ teraz cisza, anioły Boże, w błocie i na śniegu, pilnowały skulonych z zimna ludzi i dopilnowały, iżby tej pierwszej i najcięższej nocy, spokoju snu ich nie zmałcił anioł śmierci...

Ale, tajemnych wyroków Bożych stróż i wykonawca, anioł ów, bledszy od księżycowego promienia, cichszy od szelestu skrzydeł nocnego ptaka, nie mógł i w nieszczęsnym obozie nie zebrać mrocznego żniwa.

Jakoż najbliższej, głodnej i chłodnej nocy jedna z matek, nagle trwoga zdjęta, zbudziła się i w ramionach znalazła ciepłego jeszcze trupka.

Wyrosła znowu mała mogiłka, niby kopczyk graniczny polskiego tułactwa...

Za nią poszły inne.

Nazajutrz od samego rana, wyjątkowo — sowieckim zwyczajem — nie w nocy, rozpoczęło się znowu śledztwo; znowu prośbą i groźbą starano się zmusić nas do pomaszerowa-

nia na przystań, gdzie, podobne do potwornych aligatorów z rozdziawionymi paszczami, widne z daleka, czekały nieosłonięte złowieszce barki. Próbowano sterroryzować zesłańców, wpuszczając na plac ciężarowe auta, potrącając ludzi, porywając rzeczy, rycząc przez głośniki jakieś rozkazy i pogroźki.

Wszystko daremnie. Ludzie stali, a raczej leżeli murem, gdzieś tam rozwalonym, ale trzymającym się krzepko. Znowu więc poszły w ruch telegramy i telefony do Moskwy i z Moskwy...

W rezultacie, jako pierwsze ustępstwo, po tragicznym wypadku zamarczenia na śmierć dziecka — wspomniani o nim wyżej — otrzymaliśmy zezwolenie na rozpalenie ognisk. Po sowiecku, na tym się skończyło; nie zatrąszono się skąd mamy wziąć suchego drzewa na opał. Nie było to bynajmniej zadanie łatwe, zważywszy, że wszystko dokoła tonęło w błocie, bądź w mokrym śniegu.

Wysłane rekonesanse buntowników, korzystając ze zmniejszonej czujności, a może i patrzenia przez palce ze strony wart nieprzyjaciel-

gata“... same one nie jady lepiej.

Oczywiście, wobec potrzeb obozu była to kropla w morzu. Głodowaliśmy i marzliśmy w dalszym ciągu. Ten i ów gorączkował; wśród dzieci wybuchła odra, która pochłonięta niejedną ofiarę. Jednakże wspomniane odruchy ludzkiego miłosierdzia, w tym kraju jakże go pozbawionym, były nam dużym pociechą moralnym.

Niebawem miało przyjść jeszcze większe...

Na placu wrzało już tymczasem życie gromadzkie. Cokolwiek bowiem mówi się o braku talentu organizacyjnego u Polaków, muszę stwierdzić, że moje doświadczenia sybirskie i później kazachstańskie wyraźnie temu przeczą.

Rozpoczęto od spisu zarówno mających, jak i nie mających powiązania z wojskiem. Ono bowiem — jeszcze jedna zaszczytna, śmiało można powiedzieć — złota karta w dziejach Wojska Polskiego; ono i tylko ono było nadzieją i deską ratunku wszystkich zesłańców.

Dalej, w miarę możliwości i ustępstw ze strony NKWD, troszczono się o zdobycie ciepłej stawy oraz ciepłego kąta dla najbardziej potrzebujących. Niektórzy starali się na własną rękę znaleźć bodaj najniebezpieczniejsze lokum — zawsze — było to lepsze od gnijąca na placu pod gołym niebem — spora jednak liczba zesłańców trwała dalej w śniegu i błocie. Tym przede wszystkim i na gwałt potrzebna było dostarczyć krzepiącej stawy duchowej.

Organizacja zaczęła przemyśleć nad możliwością Mszy świętej...

Już przednio, z okazji sporządzonego spisku, odkryto, że na placu znajduje się ksiądz, zdaje się kapelan wojskowy. Nazwiska kapłana nie pamiętam, a gdybym nawet pamiętał, nie podałbym go. Moze ksiądz ów pełni służbę Bożą w Polsce, może posiada tam rodzinę — po cóż więc wywoływać wilka z lasu!...

Od księdza wyszła inicjatywa, o choczko podchwyciona przez cały obóz. Inicjatywa śmiała, prawie niewykonalna w tym miejscu i tych warunkach; jakże bowiem, poza wszystkim, było marzyć o Mszy świętej wobec poważnych braków w sprzęcie i szatach liturgicznych.

Ale — jak wiadomo — „zapal tworzy cuda“...

Uzyskawszy z trudem (nowa porcja telegramów i telefonów!) zezwolenie władz sowieckich, przystąpiono naprzód do urządzenia ołtarza. Zbudowano go z jakichś skrzyń, nakryto czystym przesteradłem miast obrusa.

Ktoś pośpieszył z krzyżem, ktoś inny z obrazkiem Matki Boskiej. W miejsce niemożliwych do zdobycia o tej porze kwiatów, jedna z pań ofiarowała kilka, troskliwie przechowanych i strzeżonych jak oka w głowie, palemek wileńskich. W bagażu kapłana znalazła się przemycona alba, czy nawet ornat. Podręczny mszałik księdza zastąpił duży mszał; zwykła ponoć szklanka od herbaty — kiełbki mszalne. Hostie i Komunikanty sporządzono na miejscu z garści znalezionej w czyskich zapasach mąki i t.d., jak daleko sięgało nasze ubóstwo i pozwalały przepisy Kościoła.

Może pamięć nie dopisuje mi w jakimś szczególe, ale pamiętam i wiem jedno: nigdy

przedtem i potem nie słuchałem Mszy świętej w takim skupieniu i z takim wzruszeniem. Jej nastrój i ramy miały coś, tak sobie wyobrażam, z nabożeństwa pierwszych chrześcijan. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę, że dla wielu z nas była to od chwili aresztowania pierwsza Msza święta, i to gdzie i w jakich warunkach!...

Czy kto z was, towarzysze niedoli ferabskiej i świadkowie tej osobliwej Mszy, modlił się kiedy tak żarliwie i — dodam cichutko — płakał tak rzewnie?...

Nie zapomnę chwili, kiedy ksiądz zaintonował od ołtarza „Boże coś Polskę“... pióro za słabe, trzeba to było przeżyć!...

Wiadomość o Mszy w „obozie“ musiała lotem ptaka rozzejść się po mieście. Już bowiem podczas następnej Mszy stanęło w pobliżu kilka nacię. a później staowało po kilkadziesiąt osób — pozornie ciekawych i obojętnych widzów — tam zwłaszcza, gdzie obok stał enkawudzysta — oczywiście nie zdejmujących czapek, nie żegnających się, czy kłękających — których oczy przecież zdawały się mówić coś całkiem innego...

Byli to — muszę zaznaczyć — sami Rosjanie, Polaków w Ferabie podówczas nie było.

Rychło miał miejsce fakt, o którym po dziś dzień nie mogę myśleć bez wzruszenia, a który pogłębił jeszcze wśród nas ów nastrój, jak go nazwałbym, „pierwszych chrześcijan“.

Pewnego wieczora, kiedy się już dobrze ściemniło, zauważyliśmy kilka postaci, a raczej cieni kobiecych, skradających się do obozu i dzwigających coś ciężkiego w chustach...

Myśleliśmy z początku, że to babiny sowieckie niosą dla nas chrust. Nagle jednak — o dziwo — chrust się poruszył, ba — jakby zakwilił ludzkim głosem.

Ledwie ten i ów zdołał przeczeć oczy, niepewny czy nie śni, sylwetki kobiece znikły, rzekłbyś — zmazane gąbką z czarnej tablicy nocy. Co ciekawsze, wraz z nimi zniknął nasz kapelan, a także towarzyszący mu stałe ministrant.

Jak te kobiety sowieckie, a w ślad za nimi inne, zwiędziały się o polskim księdzu, jak zdołały z nim się porozumieć, jak, zamiast chrustu, przyniosły swoje dzieci, gdzie i jak nasz kapelan chrzczył je na poczekaniu, ba — wystawiał matkom świadectwa chrztu, — niech na to spadnie zasłona.

To wie jeden dobry Bóg i sługa Jego — wiedzą te ubogie kobieciny, a może dowiedziały się później i zapamiętały sobie ich dzieci...

I — jakby w nagrodę za to — sprawił dobry Bóg, że po gnębieniu został Haman okrutny, że ofiary jego odniosły ostatnie i ostateczne zwycięstwo.

Na drucie z Moskwy, ni to na skrzydłach jaskółczych, sfrunęła wieść radosna:

Polaków w Ferabie podzielili na dwie grupy: wojskową i cywilną. Pierwszą skierować natychmiast do Kazachstanu (okręg Alma-Aty), gdzie bez przymusu pracy będzie się przysposabiała do służby wojskowej. Druga grupa zostanie tymczasowo rozmieszczona po okolicznych kotchozach, w niedalekiej zaś

(Dokończenie na str. 14)



WIOSNA W TYBERIADZIE

Okres Wielkiej Nocy budzi we mnie wspomnienia kilku lat spędzonych na Ziemi Świętej. Miejsca, gdzie Chrystus nauczał i cuda czynił zbliżały do Boga.

Kto chce zachwycić oczy krajobrazem i rozkoszować się zielenością i kwieciami, których nie spotyka się w innych miejscach w Palestynie, niech przypomni sobie dawną Galileę. Droga autobusem do Tyberiady jest może trochę uciążliwa, ale wynagradzają ją niezapomniane widoki. Już od Nabluś jedzie się pięknymi drogami górskimi, soczysta zieleność, mija się czerwone pola anemonów i różowych goździków, gdzie nigdzie szare osty. Krajobraz przypomina trochę nasze Podkarpacie, a goździki nasze firletki. Oczy nie mogą się oderwać od Nazaretu i w oddali sterczącej góry Tabor. Gdy mijamy ostatni zakręt, rozciąga się przed nami w dole kotlina z jeziorem Tyberiadzkim. Jesteśmy olśnieni.

Sama Tyberiaada jest zwyczajną nadmorską miejscowością klimatyczną z wieloma pięknymi hotelami i willami. Czar Tyberiady, to nie ruiny zamku pozostawionego przez Krzyżowców, ani zabytki sięgające czasów Dawida, Czar Tyberiady, to jezioro Genezaret, Tyberiadzkie lub Galilejskie.

Jezioro co chwila jest inne. Umie być spokojne i mieć gładką taflę, a w jednej chwili pieni się falami. W południe błyszczą jak diamentami posypane a w czasie deszczu jest pastelowo niebieskie i szare.

Drugi brzeg jeziora Tyberiadzkiego to już Syria. Na północy w dniu pogodnym błyszczą w słońcu swą śnieżystą szatą Mount Hermon.

Jezioro Tyberiadzkie ma swoje bogate życie. Ma różnorodność ryb, z których najlepsza jest płaska tyberiadzka, zjadana przez letników i turystę.

Zwiedziłam Kafarnaum tak znane z Biblii. Oaza starożytności, a zarazem miejsce, gdzie przebywał, nauczał i cuda czynił Chrystus. Gdy wysiedliśmy z łodzi, uderzyła nas zieleność majowa. Mieliśmy klasztor strzegący pamiątek i wkroczyliśmy do zarosniętego ogrodu, gdzie spoczywały dawne kamienne narzędzia i przedmioty z epoki Chrystusa. Naczynia, które służyły do mielenia ziarna świadczą, że mieszkańcy Kafarnaum zajmowali się młynarstwem. Na wielkim dziedzińcu porożrucane kamienie, kolumny nadzwyczajnie zachowane. We wschodniej części zachowany fragment z porożrucanych resztek i na to poświecił swoje życie. Miejscowa ludność uważa, że z tej właśnie świątyni Pan Jezus wyrzucił kupczących. Na tym samym placu bardziej ku morzu znajdują się resztki mozaiki z czasów Krzyżowców, na ścianach klasztoru wiszą obrazy,

CELINA TARNAWSKA
BUSZA

przedstawiające życie i działalność Pana Jezusa.

W Kafarnaum spotkaliśmy franciszkanina, który okazał wiele sympatii dla cierpiącej Polski. Tyberiaada w czasie wojny była miejscem wypoczynku dla naszej młodzieży junackiej i dla uzdrowieńców z frontu. Casa Nova była pełna Polaków.

Tyberiaada ma lecznicze kąpiele solankowe w El-Hammie, tam również są kąpiele siarkowe. Droga do El-Hammie jest bardzo ciekawa pod względem geologicznym, jest to bowiem jedna z młodych formacji. Zwały wapieniaka i dolomitu, poszarpane pionowo ściany skalne, zwisające potężnie nad serpentynami górskimi ponad wąwozem rzeki Jarmuku. Kotlina, w której leży El-

Hamma jest dnem starego wulkanu. Po drodze mijamy rzekę Jordan. W El-Hammie mamy zabytki starożytne, wśród traw i ostów znajdują się kamienne krzesła króla Salomona. Kąpiele w El-Hammie mają duże znaczenie lecznicze i są radioaktywne! Ciężła woda dochodzi do 50°.

W powrotnej drodze zwiedziłam Nazaret. O łagodnym górskim klimacie. Pięknie położony Nazaret ma dwa kościoły św. Rodziny i Nawiedzenia, oraz kościół już nowszy w klasztorze oo. salezjanów, gdzie znajduje się śliczna statua Jezusa pasterza. Nazaret w czasie wojny był siedliskiem dwóch szkół junackich. W Nazarecie człowiek odpooczywa duchowo i uspasabia się do modlitwy. W okolicy Tyberiady jest sławna Magdala i Kana Galilejska.

Celina Tarnawska Busza

BUNT W FERABIE

(Dokończenie ze str. 13)

przyszłości skierowana do polskich ośrodków wojskowych **)...

Bunt w Ferabie był skończony.

Wkrótce grupę wojskową pod dowództwem energicznego kpt. Świetlika, do której należałem, załadowano do pociągu. Tym razem pociąg jechał we właściwym kierunku...

Wyjazd nastąpił nagle i w

** Ta ostatnia obietnica, jak się zdaje, została tylko częściowo zrealizowana. Obawiam się, że nie wszystkich „ferabczyków“, zwłaszcza samotne kobiety i dzieci, udało się wojsku przegarnąć i że niejedna z tych ofiar, o ile zdołała przetrwać, po dzień dzisiejszy gnije w gnoju sowieckim. Przep. aut.)

takim tempie, że nie zdołałem zobaczyć i pożegnać wszystkich pozostawionych przyjaciół i towarzyszy niedoli; o wielu z nich nic dotąd nie słyszałem.

Niektórzy przeczytają może to wspomnienie.

Niech tedy starczy za nie dopełnione pożegnanie, niech będzie znakiem, że trwamy i wytrwamy.

A skoro nie mogliśmy się pożegnać, niech nam losy łaskawe nie poskąpią powitania — tam, dokąd biegliśmy myślą w pamiętne wieczory ferabskie, wołając w pieśni do Serdecznej Matki:

....Wygnancy Ewy do Ciebie wołamy, Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy!...

Józef Relidziński

„Antokol“,
Beckenham, Kent.

JAK BYŁO TU PRZED LATY STU

Stara Anglia, ta sprzed lat stu, jakże inna od dzisiejszej, dzisiejszej z opieką społeczną, przodującym szkolnictwem itd. itd. Warto jednak prześledzić roczniki pism przedwojennych, otoczyć się faktami, relacjami. Wiele spraw dzisiejszych ma podkład w dawności.

W jednej z bibliotek Londynu natrafiłem na kilka roczników redagowanych przez Karola Dickensa. Są to „Household Words“ oraz dodatek miesięczny do nich pt.: „The Household Narrative of Current Events“ czyli tłumacząc na polskie: „Przebieg ostatnich wydarzeń“.

Otwiera je rok 1850, po nim idą następne. A więc z górą wiek.

Teraz obrazki...

19 luty 1850. — Chłopak nazwiskiem Robins został zbity

STEFAN LEGEZYŃSKI

przez nauczyciela Wiliama Brabyn z Withiel, Cornwalia, po głowie pałką do tego stopnia że mózg został naruszony. To spowodowało jego ślepotę i głuchotę. Nauczyciel został skazany przez sąd na 20 funtów kary.

Sprawy o bezlitosne bicie wychowanków często zajmują czas sądom.

Liczne wypadki skrajnej nędzy. Oto jeden z nich:

Urządnik policyjny z Southwark, w związku z otrzymanym listem od jednego z obywateli, odwiedził mieszkanie Marii Anny Bannister, młodej dziewczyny. Zobaczył smutny widok. Maria jak i jej rodzeństwo lat 8, 11, i 14, nie mieli ani jedzenia ani żad-

nych rzeczy gospodarstwa domowego. Rodzice, w tym matka p. jaczka, rozeszli się i dzieci zostawili bez opieki. Mieszkańcy miasta, gdy dowiedzieli się o tym, złożyli dla biednych dzieci 25 funtów. Postanowiono wysłać je do Australii a do czasu wyjazdu umieszczono w przytułku (workhouse).

O niskich zarobkach robotniczych mówi sprawa przed sądem na Bow-street. Za zrobienie pary damskich bucików czeladnik dostawał 7 pensów.

Katastrofy okrętowe były częste. I tak w kwietniu 1850 statek Adelaide, z ilością 206 pasażerów i załogi, zatonął wkrótce po opuszczeniu m. Cork. Wszyscy zginęli. Przez szereg dni ciała potopionych wyrzucano morze na brzeg.

Dwoje małych dzieci odpowiadało przed sądem na Bow-street, za kradzież bochenka chleba z piekarni. Dzieci mówiły że skradły z głodu. Dochodzenie potwierdziło, że odpowiadało to prawdzie. Skazano je na karę cielesną w domu poprawy.

Na 5 funtów kary zostało skazane małżeństwo rolników za zabicie 10 letniego chłopca który służył u nich. Pokaleczyli go do tego stopnia, że był bliski śmierci.

Kłopotów przysparzali Irlandczycy.

Przed sądem stanęli 3 mali irlandzcy chłopcy, których znaleziono na stopniach schodów domu w Borough. Nie umieli po angielsku. Z najstarszym dogadano się j. j. Podał on, że pochodzą z Cork, że kierownik domu dla ubogich zapłacił im drogę do Anglii mówiąc, że tam znajdą pracę. Niestety pracy nie znaleźli, wzięli się głodni, spali pod mostami itd. Oddano ich do domu dla ubogich w Southwark, z zaleceniem

NAKŁADEM KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS”

- | | |
|--|------|
| J. ZEYER — Wygrana miłość — powieść | 5/- |
| Z. KOSSAK — Błogosławiona wina — powieść | 15/- |
| M. DANILEWICZOWA — Blisko i daleko — opowiadania | 15/- |
| F. GOETEL — TATRY — Wydanie bibliofilskie, liczne ilustracje, opr. płóc. ze złoc. | 15/- |
| P. STACHIEWICZ i M. GAWALEWICZ — Królowa Niebios, Legendy o Matce Boskiej z ilustracjami | 15/- |
| N. SADEK — Kamienicznik — komedycja dla scen amatorskich | 2/- |
| T. LISIEWICZ — Przesyłka z Polski — obrazek sceniczny | 2/6 |

Do nabycia: w VERITAS F. P. CENTRE
12, Praed Mews, London, W. 2.
oraz we wszystkich księgarniach polskich
Przy przesyłce doliczamy koszty porta.

Na składzie w VERITAS F. P. CENTRE
MSZAŁY

codzienne z dodaniem nabożeństw niespornych, opracowane przez Mnichów Opactwa w Tyńcu, wydane przez Opactwo św. Andrzeja w Bruges

w oprawie płóciennej	£ 1.16.6
w oprawie skórzanej	£ 2.13.9
w oprawie skórzanej ze złoceniami	£ 3. 2.3

Przy przesyłce doliczamy koszty porta.

SKŁADAMY OFIARY NA KOŚCIÓŁ POLSKI

Do bieżącego numeru „Gazety Niedzielnej“ dołączamy ponownie formularze do przesyłania ofiar na odbudowę i upiększenie Kościoła Polskiego przy Devon Road w Londynie. Jak oświadczył w swym apelu ks. prałat W. Stanisławski — jeśli tylko połowa Polaków przebywających w Wielkiej Brytanii prześle ofiarę w kwocie 1 szylinga, zbierze się kwota £ 3.000, potrzebna na koszt restauracji polskiej świątyni w Londynie.

Do Polski i za „L. Curzona”

NAJLEPSZYM SPOSOBEM POMOCY RODZINOM SA
NASZE PACZKI

WYSYŁAMY SZYBKO I SPRAWNIE DO POLSKI I ZA „LINIE CURZONA”
OBUWIE — MATERIAŁY WEŁNIANE — BIELIZNĘ — SWETRY —
CHUSTKI — PONCZOCHY — WIECZNE PIORA.

Do Rosji przyjmujemy do wysyłki towar własny klientom. Clo, licencje i ubezpieczenie opłacamy w Londynie, dzięki czemu odbiorca nie ponosi żadnych opłat. Cenniki na życzenie przesyłamy odwrotnie.

ZJEDNOCZONE FIRMY

Lampert - Polimex

45, CROMWELL ROAD, LONDON, S.W.7. TEL. KENSINGTON 0760.

ŚWIĘTA WIELKANOCNE WHITE EAGLE STORES

(W. P. & B. SUPPLY CENTRE LTD.)

2, Albert Gate, London, S. W. 1. Tel.: KEN 4281

poleca:

Wędliny polskie, francuskie, holenderskie, (salamy jugosłowiańskie).
Ciasto: babki, makowce, serniki itp.

Przyprawy: grzyby, ogórki, kapusta polska.

Duży wybór towaru.

Sklep otwarty 10 — 6.

Załatwiamy zlecenia listowne. Wysyłka natychmiastowa.

Tamże SKLEP GALANTERYJNY:

Wysyłka paczek do Polski; materiały wełn., obuwie, bielizna, lekarstwa, żywność itp.

OGŁOSZENIA DROBNE

POSZUKIWANIA

Poszukuje w ważnej sprawie P. HERETE, który wiosną 1951 roku przebywał w 3-cim Szpitalu w Penley nr. Wrexham. Dawidowski Fr., N. S. H. C., Radcliffe, Lancs.

For the Gifts you'll give with pride,
let H A S K O B A be your guide.

NOWOŚCI KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS” „BIBLIOTEKA POLSKA”

Podstawowym wydawnictwem BIBLIOTEKI POLSKIEJ jest seria powieściowa, oprawna w czerwone płótno (stąd nazwa: seria czerwona). Seria powieściowa (czerwona) BIBLIOTEKI POLSKIEJ wychodzi co dwa miesiące, do 1 września 1953 roku.

Od 1 września 1953 — co miesiąc.

Oprócz serii czerwonej, w ramach BIBLIOTEKI POLSKIEJ wychodzą książki religijne — seria niebieska i popularno-naukowe — seria zielona.

Książki BIBLIOTEKI POLSKIEJ w subskrypcji i w abonamencie kosztują po 8/6 + 6 d na opakowanie i przesyłkę lub \$ 1.50 w bloku dolar.

Subskrybentem jest ten, kto zamawia doraźnie jedną książkę z którejkolwiek serii.



Abonentem jest ten, kto zamówi w przedpłacie sześć książek.

Abonent ma prawo do premii gwiazdkowej po najniższej cenie. Wydawnictwo zgadza się na płatność miesięczną (mimo zgłoszenia abonamentu na dłuższy okres) pod warunkiem jednakże, że wpłaty uiszczane będą punktualnie (przed dniem 1 tego miesiąca, w którym wychodzi zamówiona książka).

Okres subskrypcyjny na książkę rozpoczyna się w chwili ogłoszenia tytułu książki. Koniec subskrypcji następuje w ostatni dzień miesiąca poprzedzającego ukazanie się książki. W dniu następnym książka idzie do normalnego handlu księgarskiego

i kosztuje na obszarze szterlingowym — 15/-, w bloku dolarowym — 2.50.

PLAN WYDAWNICZY BIBLIOTEKI POLSKIEJ NA ROK 1953

	Seria powieściowa (czerwona)	Seria religijna (niebieska)	Seria popularno-naukowa (zielona)
maj 1953	Wacław Grubiński PANI SAPOWSKA Powieść	M. V. Bernadot, O. P. MATKA BOSKA W NASZYM ŻYCIU	
lipiec 1953	Franciszek Werfel PIEŚN O BERNADECIE Tom I.		T. Felsztyn NAJNOWSZE ODKRYCIA NAUKOWE (z 25 ilustr.)
wrzesień 1953	Franciszek Werfel PIEŚN O BERNADECIE Tom II.	I. M. Bocheński, O. P. SZKICE ETYCZNE	
październik 1953	Jerzy Kossowski KŁOS W PUSZCZY Powieść. (Tytuł prowizoryczny)		G. K. Chesterton KROTKA HISTORIA ANGLII
listopad 1953	Józef Kisielewski POWRÓT Powieść		
grudzień 1953	Wiktor Gomulicki WSPOMNIENIE NIEBIESKIEGO MUNDURKA Powieść	M. Winowska OJCIEC MAKSYMILIAN KOLBE	

Wydawnictwo zastrzega sobie prawo zmiany poszczególnych tytułów. W wypadku zdobycia nowych polskich powieści zastąpią one w planie wydawniczym powieści tłumaczone lub wznowienia.

Niezależnie od powyższych zapowiedzi wydawnictwo BIBLIOTEKI POLSKIEJ ma zamiar wydać książki następujących pisarzy: (starania o autoryzację lub zdobycie tekstów niżej wymienionych autorów są dopiero przeprowadzane, stąd wydanie niektórych książek może być odroczone)

Pisarze polscy: m. in. I. M. Bocheński, O. P. („Filozofia XX wieku“). M. Gawalewicz („Warszawa“). F. Goetel, Z. Kossak, J. I. Kraszewski, J. Marlicz, W. Miłaszewska, B. Oberżyńska, W. Perzyński, J. Radzyńska, H. Rzewuski („Pamiętniki Imci Pana Seweryna Soplicy“), St. Szpotanski („Czerwone maki“), M. Winowska, O. J. Woroniecki, T. Zajęczkowski. Pisarze obcy: K. Adam, A. Carrel („Pielgrzymka do Lourdes“), Cather („Śmierć przychodzi do arcybiskupa“), Graham Greene („Przemoc i chwała“), Van der Meersch („Ciała i dusze“), T. Merton („Posiew kontemplacji“), R. P. H. Petitot, O. P., Evelyn Waugh.

Książki w subskrypcji i prenumeracie rozsyła się w pierwszej połowie miesiąca, na który książka została zapowiedziana.

Książki drukowane są na dobrym papierze powieściowym. Przeciętna ilość stron: 200 (od 160 do 240). Każda książka jest oprawiona w

płótno ze złożonymi napisami. Oprócz tego każda książka ujęta jest w barwną obwolutę.

Subskrybent zamawia każdą książkę oddzielnie „na wrywki“. Abonent może dać dyspozycję, aby z jego zamówienia przysłano mu książki z serii powieściowej (czerwonej) lub z serii religijnej (niebieskiej) i popularno-naukowej (zielonej).

Subskrybent nie posiada prawa do nabycia książki premiowej po najniższej cenie.

Baz do roku bowiem, w dniu 1 grudnia BIBLIOTEKA POLSKA wyda książkę albumową lub antologię w bibliofilskim wydaniu jako doroczną premię.

W dniu 1 grudnia 1953 roku ukaże się ANTOLOGIA LIRYKI POLSKIEJ ułożona przez znakomitego historyka literatury, zmarłego niedawno w Kraju,

prof. Wacława Borowego

Jest to rozszerzone i gruntownie przerobione nowe wydanie słynnej antologii poezji p. t. „Od Kochanowskiego do Staffa“. Około 500 stron druku na specjalnym papierze. Oprawa — imitacja zgrzebnego płótna. Dla stałych abonentów indywidualnych cena w subskrypcji 8/6 + 6 d porto, w bloku dolarowym \$ 1.50. Dla dorywczych subskrybentów cena w przedpłacie z przesyłką 20/-, w bloku dolarowym \$ 3.50. W dniu 1 stycznia 1954 r. książka przejdzie do sprzedaży księgarskiej i kosztować będzie £ 1.10.0, w bloku dolarowym \$ 5.00.

BIBLIOTEKĘ POLSKĄ WYDAJE:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2, ENGLAND

PRZEDSTAWICIELSTWA

ARGENTYNA — Przedstawiciel: T. Dąbrowski,
Ave Leandro Alem 641, Buenos Aires.

BELGIA — Przedstawiciel: Mme E. Kułakowska,
101, rue Auguste Lambiotte, Bruxelles.

BRAZYLIA — Przedstawiciel: Z. Kietlińska,
Av. Batel 1514, Curitiba, Parana.

FRANCJA — Przedstawiciel Generalny: „Libella“ Libraire,
12, Rue St. Louis en l'Île, Paris IV.

HOLANDIA — Przedstawicielstwo „Gazety Niedzielnej”,
Schorsmolenstraat 9, Breda.

NIEMCY — Przedstawiciel: Stanisław Mikiciuk,
Seehamerstr. 4, Bar. 16 B/2, (13 B) München 54.



„ — Przedstawiciel: „Informacja Prasowa”,
Postfach 86, (23) Quackenbrück.

STANY ZJEDNOCZONE — Przedstawiciel: Mrs. J. Stojanowska,
83, East 22-nd Street, Bayonne, N. Jersey.

„ — Przedstawiciel: „Gryf Publication”,
808, Wager Street, Utica, N. Y.

„ — Przedstawiciel: Mr. E. Bagiński,
5050, Cass Ave., Detroit 2, Michigan.

SZWAJCARIA — Przedstawiciel: Mgr A. Bocheński,
Case Postale 19, Fribourg 2.

SZWECJA — Przedstawiciel: Mgr Bożysław Kurowski,
Anggataan 6 C, Lund.

WIELKANOCNY KONKURS ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

WARUNKI KONKURSU

1. Konkurs składa się z pięciu różnych zagadek. Poprawne rozwiązanie wszystkich daje rozwiązującemu 38 punktów, rozwiązanie tylko niektórych z nich daje odpowiednio mniej, stosownie do ilości maksymalnej punktów, wymienionej przy każdej zagadce.

2. Czytelnicy, którzy będą mieli 38 punktów wezmą udział w losowaniu pierwszej nagrody £1.10.0. w gotówce oraz nagrody pocieszenia w postaci książki Tadeusza Bora Komorowskiego „ARMIA PODZIEMNA”.

3. Czytelnicy, którzy będą mieli od 33 do 37 punktów wezmą udział w losowaniu drugiej nagrody — £1.00.0. w gotówce oraz nagrody pocieszenia w postaci ilustrowanej książki Ferdynanda Goetla „TARTRY”.

4. Czytelnicy, którzy będą mieli od 29 do 33 punktów wezmą udział w losowaniu trzeciej nagrody — £0.10.0 w gotówce oraz nagrody pocieszenia w postaci wybranego przez wygrywającego jednego z tomów „Biblioteki Polskiej”.

5. Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 15 kwietnia. Do rozwiązania należy dołączyć Postal Order na 9 pensów tytułem wpisowego (za granicą dwa międzynarodowe kupony pocztowe), oraz zamieszczony poniżej i wypełniony czytelnice kupon konkursowy.

Rozwiązania zagadek wielkanocnego konkursu rozrywek umysłowych, wyniki losowania i rozdział nagród ogłosimy w numerze „Gazety Niedzielnej” z datą 10 maja 1953.

KUPON KONKURSOWY

Przesyłam rozwiązania zagadek wielkanocnego konkursu rozrywek umysłowych „Gazety Niedzielnej” na ilość punktów oraz Postal Order na 9 d. (2 międzynarodowe kupony pocztowe).

Imię i nazwisko

Dokładny adres

Prosimy o czytelne wypełnienie powyższego kuponu.

BILETY WIZYTOWE

(Za rozwiązanie każdego biletu 2 punkty)

D. O. STAMYK

ST. JARZYŃKA

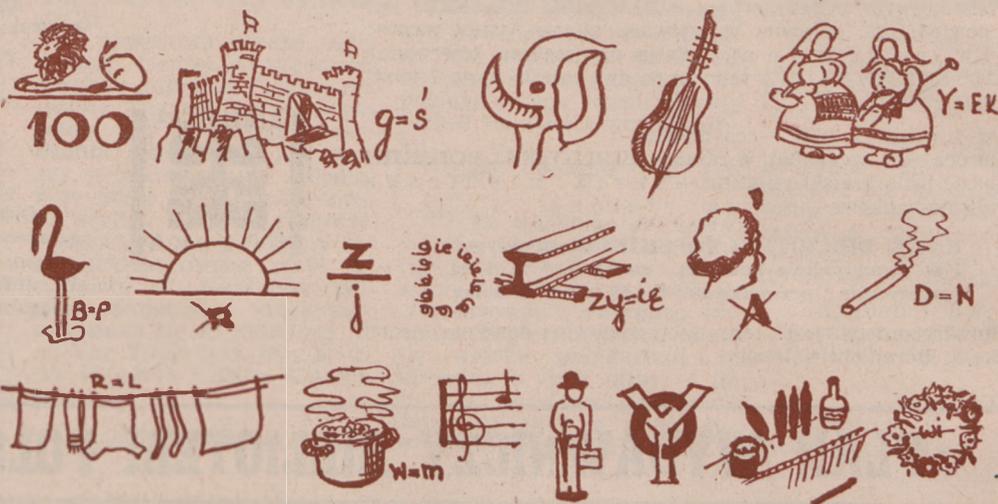
I. SZTYMANSKA

H. CZARUK

Odpowiednio przedstawione litery w każdym bilecie wizytowym dadzą zawód ich właściciela, czy właścicielki.

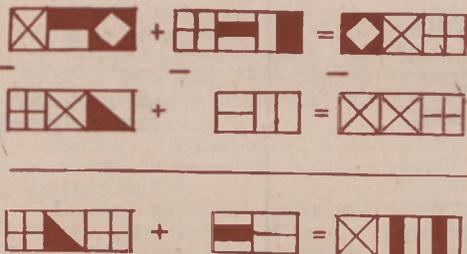
R E B U S

(Za rozwiązanie 11 punktów)



Łamigłówka arytmetyczna

(Za rozwiązanie 6 punktów)



Każdy kwadrat przedstawia jedną cyfrę. Po podstawieniu odpowiednich cyfr należy wykonać następujące działania:

- a) dodać do siebie liczby w rzędach,
- b) odjąć od siebie liczby w kolumnach,

tak, aby końcowa liczba będąca jednocześnie w trzecim rzędzie i trzeciej kolumnie dała rozwiązanie.

KONIKÓWKA

(Za rozwiązanie 8 punktów)

	w	ale	wzrok	włożę	
przez	ten	loh	daje	szepcąc	oczy
usta	Bóg	Lecz	krę	szepcąc	szepcąc
co	wiarę	bywa	nie	w	zarno
co	tym	a	je	zwy	idą
	zdo	dam	co	przez	

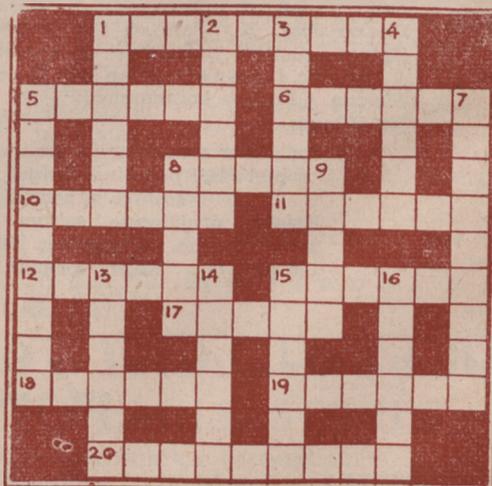
Ruchem konika szachowego odczytać wyjątek z wiersza Słowackiego: „Tak mi Boże dopomóż”.

KRZYŻÓWKA KONKURSOWA

(Za rozwiązanie 7 punktów)

Poziomo: 1. Jezioro z Ewangelii, 5. Autor „Etiudy Rewolucyjnej”, 6. Krowa, 8. Powoduje rumieńce, 10. Jeden z przyborów szkolnych, 11. Bywa w 10 poziomo, 12. Rosjanie stosowali do żydów, 15. Każdy wspólnik ma go (wspak), 17. Dał swój kolor ustom, 18. Kwiat, 19. Powoduje łyzy, 20. Archipelag malajski.

Pionowo: 1. Miniatura ziemi, 2. Imię męskie, 3. Rejon podbiegunowy, 4. Awantura uliczna, 5. Rośnie na grządkach, 7. Prowincja hiszpańska, 8. Decyzja sądu, 9. Zawód poszukiwany w Kanadzie, 13. Gatunek niedźwiedzia, 14. Księstwo znane z domu gry, 15. Rodzaj pantofli, 16. Inaczej kukułka.



REDAKCJA i ADMINISTRACJA: 12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2, Telefon: AMB 6879. VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Prenumerata (z przesyłką) płatna z góry: miesięcznie 3/6; kwartalnie 7/-; półrocznie 14/-; rocznie 28/-. Niesamowitnych rękopisów Redakcja nie zwraca. OGŁOSZENIA: 1 cal przez 1 lam & 1. W tekście 50% drożej, na pierwszej stronie 100% drożej. Za każde następnne ogłoszenie tej samej treści — opust, zależny od ilości ogłoszeń. Nekrologi 10 sh, za cal. Ogłoszenia drobne: 1 sh, od wiersza. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada. PRZEDSTAWICIELSTWA ADMINISTRACJI — BELGIA: Mme E. Kulakowska, 101, rue Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. Cena numeru 3 fr. b.; prenumerata miesięczna 20 fr. b. Wpłaty na adres powyższy lub na konto pocztowe C.C.P. Nr. 798141. FRANCJA: „Libella” Libraire, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV. Cena numeru 15 fr. kwartalnie 270 fr. HOLANDIA: Przedstawicielstwo „Gazety Niedzielnej”, Breda, Schormolenstraat 9. Cena nr. pojedynczego 20 centów, pren. mies. 95 centów, kwart. 2 guld. 70 centów. NIEMCY: St. Miklejuk, (13 b), Münehen 54 Seehamer. 4. Bar. 16 B/2. Cena numeru 0.25 DM, pren. mies. 1.50 DM, kwartalna 4.50 DM. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: Mrs. C. Stojanowska, 83, East 22-nd Street, Bayonne, N.Y. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 5050, Cass Ave., Detroit 2, Michigan, Prenumerata kwartalna 1\$, poczta lotnicza 1\$. SZWAJCARIA: „Veritas” Case Postale 19, Fribourg, 2. Cena numeru 0.30 fr., prenumerata miesięczna 1.30 fr., kwartalna 3.50 fr. SZWECJA: Bołystaw Kurowaki, Angatan 6.C, Lund. Cena numeru 0.50 kr., prenumerata miesięczna 2.00 kr., kwartalna 5.00. W ceny prenumeraty wkaikulowana jest przesyłka pocztowa oraz stały dodatek p. n. „POLSKA WALCZĄCA” Prenumerata jest płatna z góry. W sprawie cen ogłoszeń prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.